Etgar

Keret

Pizzeria „Kamikaze”

przekład z hebrajskiego:
Jakub Kakietek
Magdalena Sommer

Wydanie oryginalne

Tytuł oryginałów:
Kneller's Summer Camp, Katzenstein, Jetlag, Goodman

Wydanie polskie

Data wydania:
2001

Ilustracja na okładce:
Assaf Hanuka

Projekt okładki:
Grzegorz Laszuk

Przełożyli:
Jakub Kakietek, Magdalena Sommer

Wydawca:
Świat Literacki
skr. poczt. 67
05-080 Izabelin
e-mail: redakcja@swiatliteracki.com.pl

ISBN 83-88612-12-3

Wydanie elektroniczne

Trident eBooks

PIZZERIA „KAMIKAZE”

Myślę, że płakała na moim pogrzebie. Nie żebym się chwalił, ale jestem prawie pewien. Czasami naprawdę udaje mi się wyobrazić sobie, jak opowiada o tym facetowi, z którym czuje się blisko. O mojej śmierci, o tym, jak spuścili mnie do grobu, małego i żałosnego jak paczka starych czekoladek. O tym, że nigdy naprawdę nie zerwaliśmy ze sobą. A potem on ją posuwa i to ją w końcu pociesza.

Rozdział pierwszy,
w którym Chaim znajduje pracę i pub na poziomie

Dwa dni po tym, jak ze sobą skończyłem, znalazłem pracę w pizzerii „Kamikaze”, która jest częścią sieci. Szef zmiany był naprawdę OK – pomógł mi znaleźć mieszkanie i współlokatora, kolesia z Niemiec, który też pracuje tu, w filii. Ta praca to nic nadzwyczajnego, ale na jakiś czas wcale nieźle. A to miejsce, sam nie wiem. Zawsze kiedy ktoś coś mówił o życiu po śmierci, czy jest, czy nie itp., nigdy nie miałem zdania. Jedno jest pewne: nawet gdybym myślał, że tak, to wyobrażałbym sobie raczej ludzi unoszących się w przestrzeni i dźwięki takie jakieś jak sonar. A to najbardziej ze wszystkiego przypomina mi Tel Awiw. Mój współlokator Niemiec powiedział, że tu jest jak we Frankfurcie. Ten Frankfurt to też musi być niezła dziura. W nocy znalazłem pub, nawet dość przyjemny. „Trup-pub”. Niezła muzyka. Może nie najnowsza, ale za to z jajem, i dużo dziewczyn przychodzi tu samych. Po niektórych od razu widać, jak ze sobą skończyły – blizny na nadgarstkach itp., ale inne wyglądają świetnie. Pierwszej nocy tutaj puściła do mnie oko jedna całkiem niezła, z taką luźną, obwisłą skórą, jak u topielca. Ciało miała w porządku; i oczy. Ale nic nie zrobiłem. Mówiłem sobie, że to przez Argę, którą przez tę całą śmierć kocham jeszcze bardziej, ale może po prostu jestem otępiały.

Rozdział drugi,
w którym Chaim spotyka prawdziwego przyjaciela i przegrywa z nim w bilard

Ariego Gelfanda poznałem w „Trup-pubie” właściwie przez pomyłkę. Był strasznie przyjacielski i zaprosił mnie na piwo. Trochę się przestraszyłem. Myślałem, że się do mnie przystawia, ale okazało się, że wcale na mnie nie leci, tylko że po prostu się nudzi. Był ode mnie parę lat starszy i trochę łysiał, i to podkreślało mały ślad na prawej skroni, tam, gdzie

kula weszła, i drugi dużo większy na lewej, tam, gdzie wyszła.

– Dum-dum – Gelfand mrugnął do dwóch dziewczyn, które stały przy barze obok nas i piły colę light. – Jak się zabić, to porządnie.

Dopiero kiedy sobie poszły i przysiadły się do stolika jednego blondyna z kucykiem, przyznał, że zaczął ze mną rozmawiać, bo myślał, że jestem z nimi.

– Nie żeby to coś zmieniało – sfrustrowany uderzył głową w blat. – Nawet gdybyś je znał, w końcu i tak poszłyby z jakimś blondynem. Tak już jest: na każdą dziewczynę, jaką udało mi się zapoznać, zawsze gdzieś czekał jakiś blondyn. Ale nie myśl sobie, że jestem zgorzkniały. Może trochę zdesperowany, ale na pewno nie zgorzkniały.

Po następnych czterech piwach poszliśmy grać w bilard i Ari opowiedział mi o sobie. Okazało się, że mieszka niedaleko mnie, z rodzicami, co nie zdarza się tu często. Większość ludzi mieszka w pojedynkę, najwyżej z dziewczyną albo ze współlokatorem. Rodzice Ariego popełnili samobójstwo pięć lat przed nim. Jego matka była na coś tam chora, a ojciec nie chciał zostać sam. Mieszka z nimi też jego młodszy brat, który zjawił się zupełnie niedawno. On też strzelił sobie w głowę; w samym środku manewrów wojskowych.

– Może to niezbyt pięknie zabrzmi – uśmiechnął się Ari i wbił czarną kulę do lewej dziury – ale bardzo się cieszyliśmy, kiedy się zjawił. Trzeba było zobaczyć mojego ojca. Gość, który nawet by nie pisnął, gdybyś mu przypieprzył w nogę pięciokilogramowym młotkiem, ściskał mojego młodszego brata i płakał jak dziecko.

Rozdział trzeci,
w którym Kurt skomli, a Chaim się męczy

Odkąd poznałem Ariego, codziennie robimy rundę po pubach. Z trudem można się tu doliczyć trzech, więc siedzimy trochę we wszystkich, żeby mieć pewność, że niczego nie tracimy. W końcu zawsze lądujemy w „Trup-pubie", który jest najbardziej cool i najpóźniej go zamykają. Wczorajsze wyjście było naprawdę przybijające, bo Ari przyprowadził ze sobą swojego kumpla Kurta. Ari go podziwia, bo był liderem „Nirvany" itp., ale tak naprawdę to straszny beton. Nie żebym ja był tu bardzo szczęśliwy, ale on cały czas się skarży, i kiedy już raz zacznie, nie ma szans, żeby mu przerwać. Każde słowo przypomina mu jakąś piosenkę, którą kiedyś napisał, i zawsze musi ci ją wyrecytować, żebyś się zachwycał, a czasami potrafi nawet przysunąć się do barmana i poprosić, żeby jakąś puścił, i wtedy naprawdę nie wiesz, gdzie się schować. Nie tylko ja – wszyscy inni poza Arim też go nie znoszą. Myślę, że coś w tym jest. Kiedy umierasz, przy tym całym bólu – OK, nie macie pojęcia, jak to bob' – ostatnia rzecz, która robi na tobie wrażenie, to ktoś, kto cały czas śpiewa, jak mu jest źle. Gdyby takie rzeczy ruszały cię, kurna, chociaż trochę, zamiast wylądować tutaj byłbyś jeszcze żywy, z depresyjnym plakatem Nicka Cave'a nad łóżkiem. Tak naprawdę to nie tylko jego wina. Wczoraj po prostu miałem dół.

Zaczynam już rzygać pracą w pizzerii, rundami po pubach i całą resztą. Widzieć ciągle tych samych ludzi, którzy piją colę bez gazu, i nawet jeżeli patrzysz im prosto w oczy, masz wrażenie, że gapią się na ciebie jak w transie. Nie wiem, może mam złe podejście, ale kiedy im się przyglądasz, nawet w najpiękniejszych momentach, kiedy się całują albo tańczą, albo się śmieją, jakoś zawsze jest w nich coś takiego, jakby to było not big deal, jakby nic nie miało znaczenia.

Rozdział czwarty,
kolacja u Gelfandów

W piątek wieczorem Ari zaprosił mnie na kolację do swoich rodziców.

– Ósma wieczorem – powiedział. – Tylko się nie spóźnij. Będzie czulent.

Mieszkanie Gelfandów wyglądało jak takie mieszkanie roboli z lat pięćdziesiątych, z drewnianymi półkami, które ojciec Ariego zrobił sam, i ze ścianami w jakimś chujowym kolorze. Prawdę mówiąc, nie chciało mi się tam iść. Rodzice, nie wiem dlaczego, zawsze twierdzą, że mam zły wpływ na ich dzieci. Pamiętam pierwszą kolację, którą jadłem z rodziną Argi. Jej ojciec przez cały czas patrzył na mnie jak egzaminator, który ma zadać podchwytliwe pytanie, a przy deserze niby przypadkiem usiłował wybadać, czy nie próbuję wciągnąć jego córki w narkotyki.

– Wiem, jak to jest – uśmiechał się do mnie jak tajniak na chwilę przed tym, zanim kogoś aresztuje. – Ja też byłem kiedyś młody. Idziecie na imprezę, chwilę tańczycie, robi się gorąco, prowadzisz ją do pokoju i mówisz, żeby sobie podpaliła.

– Przypaliła – próbowałem go poprawić.

– Wszystko jedno. Wiedz, Chaim, że może wyglądam na naiwnego, ale już ja znam te wasze numery.

Na szczęście dzieci w rodzinie Gelfandów były już tak popieprzone, że rodzice nie musieli się przejmować. Bardzo się ucieszyli, że przyszedłem, i cały czas próbowali wpychać we mnie jedzenie. Jest coś miłego w domowym żarciu. Ciężko to wytłumaczyć, coś niepowtarzalnego, jakby uczucie. Jakby żołądek potrafił odróżnić takie, za które musiałeś zapłacić, od takiego, które ktoś przygotował z sympatii. Mój żołądek, po tych wszystkich pizzach i chińskim żarciu na wynos, które przerabiał, odkąd się tu pojawiłem, docenił gest i odpowiadał, wysyłając raz na jakiś czas do góry taką falę ciepła.

– Super ta nasza mama – Ari objął swoją maleńką matkę z miłością, nie wypuszczając z dłoni sztućców.

Matka Ariego śmiała się i pytała, czy chcemy jeszcze kiszki, a ojciec wykorzystał okazję, żeby opowiedzieć jeszcze jeden drętwy dowcip, i przez chwilę nagle zacząłem tęsknić za moimi rodzicami, za ich nudziarstwem, które kiedyś, zanim ze sobą skończyłem, zawsze tak mnie wkurwiało.

Rozdział piąty,
w którym Chaim i młodszy brat Gelfanda zmywają naczynia

Po jedzeniu siedziałem z Gelfandami w salonie. Ojciec włączył jakiś męczący talk-show w telewizji i cały czas klął na wszystkich, którzy w nim występowali. Ari wypił do kolacji całą butelkę wina i spał obok niego na kanapie. Zrobiło się strasznie nudno, więc Raanan, młodszy brat Ariego, i ja zgłosiliśmy się, mimo protestów matki, żeby pozmywać naczynia. Raanan mył, a ja wycierałem. Spytałem go, jak sobie tu radzi, bo wiedziałem, że skończył ze sobą niedawno, a ludzie, którzy tu lądują, w większości przeżywają szok; przynajmniej na początku. Raanan zatarł ręce i odpowiedział, że jest w porządku.

– Gdyby nie Ari, już dawno bym tu był.

Skończyliśmy już zmywać i układaliśmy naczynia w szafkach. Raanan opowiedział mi dziwną historię, jak to kiedyś, kiedy miał jakieś dziesięć lat, pojechał sam na mistrzostwa do Petach Tikvy. Był wtedy kibicem Maccabi. Miał czapkę, szalik itp. Zawodnicy Maccabi cały czas byli przy bramce drużyny Poala, która nie rozegrała nawet dwóch podań. Nagle, osiem minut przed końcem Poal, po swojej jedynej akcji w meczu, strzelił gola ze spalonego. To nie był wyraźny spalony, tylko taki, z którego robią potem w telewizji wielką aferę. Zawodnicy Maccabi próbowali się wykłócać, ale sędzia od razu uznał bramkę. Poal wygrał, a Raanan wrócił do domu w szoku i strasznie przybity. W tamtym czasie Ari ciągle pakował, bo chciał się zaciągnąć do jednostki operacyjnej. Raanan, który go podziwiał, wziął jego sprężyny do rozciągania i zrobił z nich pętlę, i przywiązał do drążka do ćwiczeń na podwórku. Potem zawołał Ariego, który właśnie próbował się uczyć do matury czy czegoś tam, i opowiedział mu wszystko o meczu, o golu i o wielkiej niesprawiedliwości. Pokazał Ariemu sprężyny przywiązane do drążka i powiedział, że nie ma już ochoty dalej żyć na świecie, w którym drużyna, którą kochasz, może przegrać, nawet jeżeli na to nie zasłużyła, i że opowiada to wszystko Ariemu, ponieważ on jest może najmądrzejszym człowiekiem, jakiego zna, i dlatego, jeżeli Ari nie poda mu chociaż jednego powodu, żeby dalej żyć, skończy z tym wszystkim raz na zawsze. Kiedy Raanan mówił, Ari nie powiedział ani jednego słowa, i nawet kiedy powinien był coś powiedzieć, dalej był cicho. Zamiast tego przybliżył się o krok i przywalił mu w gębę tak, że Raanan poleciał dobre dwa metry do tyłu. Potem odwrócił się i poszedł do swojego pokoju uczyć się do egzaminów. Raanan opowiadał, że potrzebował trochę czasu, żeby się otrząsnąć, ale kiedy wstał, zdjął sprężyny z drążka, zaniósł je na miejsce i poszedł wziąć prysznic. Od tego czasu nie rozmawiał już z Arim o sensie istnienia.

– Nie wiem dokładnie, co mi chciał powiedzieć, ale – do tych ostatnich manewrów – poskutkowało.

Rozdział szósty,

w którym Chaim przestaje wychodzić i zaczyna się wpieniać

Już prawie dwa tygodnie nie wychodzę nigdzie wieczorem. Ari codziennie do mnie dzwoni, obiecuje ubaw i laski i przyrzeka, że nie przyprowadzi Kurta, ale ja póki co jestem twardy.

Raz na trzy dni wpada do mnie koło trzeciej nad ranem, bierze piwo z lodówki i opowiada o czymś śmiesznym, co mi przeszło koło nosa, albo o kelnerce, z którą prawie mu wyszło, wszystko z najdrobniejszymi szczegółami, jak dzieciak z podstawówki, który przynosi lekcje choremu kumplowi. Na koniec, zanim wyjdzie, usiłuje mnie namówić, żebym skoczył z nim gdzieś na kawę. Tłumaczyłem mu wczoraj, że te wyjścia już mnie nie bawią; że z laskami i tak w końcu nic mu nie wychodzi i wraca do domu rozbity.

– A ty to niby nie rozbity – utrudnia Ari. – Spójrz na siebie: każdego ranka zasypiasz przed telewizorem jak małpa. Zrozum, Chaim: to, że nic się nie dzieje, to pewnik. Ale jeżeli już tak jest, to niech przynajmniej się nie dzieje w jakimś miejscu z laskami i muzyką, nie?

Kiedy wyszedł, jeszcze raz próbowałem czytać książkę, którą wziąłem od mojego niemieckiego współlokatora. Coś przygnębiającego o jednym facecie chorym na gruźlicę, który jedzie umrzeć gdzieś we Włoszech. Na stronie dwudziestej trzeciej załamałem się i włączyłem telewizję. Leciał jakiś program, gdzie spotykają się ludzie, którzy skończyli ze sobą dokładnie tego samego dnia. Każdy w śmieszny sposób opowiada, czemu to zrobił, i mówi, co zrobi, jeśli wygra główną nagrodę. Pomyślałem sobie, że Ari ma rację: siedzieć samemu w domu to nie jest znowu jakieś wielkie szczęście i że jeżeli coś się nie zdarzy, i to szybko, to mi zupełnie odbije.

Rozdział siódmy,
w którym Chaim demaskuje złodzieja i prawie dostaje nagrodę

Dzień, w którym wszystko zaczęło się zmieniać, zaczął się od tego, że zdemaskowałem złodzieja. Wiem, że to brzmi nieprawdopodobnie, ale tak było naprawdę. Właśnie kończyłem robić zakupy w supermarkecie, kiedy jakiś rudy grubas z szeroką blizną na karku podszedł do mnie, a spod płaszcza wypadło mu z dziesięć opakowań jedzenia do podgrzania w mikrofali. Staliśmy jeden naprzeciw drugiego. Myślę, że z nas dwóch to mnie było bardziej głupio. Kasjerka obok nas zaczęła wrzeszczeć:

– Cadok! Chodź tu prędko. Złodziej! Złodziej!

Chciałem przeprosić grubasa, powiedzieć, że się cieszę, że tak naprawdę to wcale nie jest gruby, że to jedzenie pod płaszczem mnie zmyliło i żeby następnym razem wszedł bardziej w warzywa, bo mięso z mikrofali zawsze wychodzi jakieś takie wygniecione i mokre. Ale tylko wzruszyłem ramionami. Facet – okazało się, że był nawet trochę chudy – też wzruszył ramionami, jak ktoś, kto kiedyś skręcił kark, i uciekł. Chwilę później przybiegł Cadok z pałką

w ręku i ze smutkiem spojrzał na rozrzucone na podłodze jedzenie.

– Jak – upadł na kolana i odezwał się cicho ni to do mnie, ni to do rozsypanych na podłodze paczek. – Jak ktoś może zrobić coś takiego? Nie tyko kraść, ale też rozdeptywać musakę, do czego to podobne?

Zanim zdążyłem uciec, przybiegła kasjerka i objęła mnie.

– Co za szczęście, że pan tu był – powiedziała. – Widzisz, Cadok, to ten pan, co zatrzymał złodzieja.

– Pięknie – wyjąkał Cadok, nie podnosząc oczu znad rozdeptanej musaki. – Sieć „Super Deal" jest panu wdzięczna. Jeżeli pójdzie pan ze mną do mojego biura i zostawi swoje dane...

– Warto – wtrąciła się w pół słowa kasjerka. – Można dostać nagrodę.

Cadok tymczasem pozbierał paczki i próbował oszacować stratę. Uśmiechnąłem się i powiedziałem, że dziękuję, ale to naprawdę niepotrzebne, i że się spieszę.

– Jest pan pewien? – spytała zawiedzionym głosem. – To niezła nagroda: weekend w hotelu dla dwojga.

Kiedy opowiedziałem o tym Gelfandowi, o mało go szlag nie trafił.

– Weekend w hotelu dla dwojga, a? – obrał sobie banana. – Jak laska może być bardziej jednoznaczna? Ona na ciebie leci.

– Leci? – odpowiedziałem. – Po prostu taka jest polityka sieci.

– Jak wyglądała? – Gelfand całkiem mnie zignorował.

– Laska? Myślę, że w porządku, ale...

– Żadne ale – szedł w zaparte. – Szczegóły. Na ile wyglądała?

– Na jakieś dwadzieścia pięć – poddałem się.

– Widoczne blizny. Żyły, ślady po kulach czy coś podobnego?

– Nie widziałem.

– Kot – gwizdnął Gelfand z uznaniem.

„Koty" mówią tutaj na tych, co się otruli albo nafaszerowali prochami, tak jak ja, i pojawiają się bez żadnych śladów.

– Młoda, laska i do tego kot...

– Wcale nie powiedziałem, że to laska – zaprotestowałem.

– Chodź – Gelfand znów mnie zignorował i zaczął wkładać swoją obleśną kurtkę. – Chodź.

– Dokąd? – próbowałem zyskać na czasie.

– Do „Super Deal" – powiedział. – Upomnieć się o nagrodę, która nam się należy.

– Nam? – spytałem.

– Zamknij się i chodź – rozkazał Gelfand, przybierając asertywną pozę. Zamknąłem się i poszedłem. W międzyczasie w „Super Deal" zaczęła się nowa zmiana. Ani Cadoka, ani kasjerki już tam nie było, a inni pracownicy o niczym nie wiedzieli. Gelfand próbował się wykłócać. Kiedy to się zrobiło naprawdę żenujące, poszedłem przynieść piwo. Obok

akwarium z karpiami spotkałem Ciciego, mojego współlokatora z czasów, kiedy jeszcze byłem żywy. Natknąć się na niego właśnie tu, to dopiero była niespodzianka.

Cici był jednym z największych dupków, jakich w życiu spotkałem. Jeden z tych, którzy potrafią zrobić aferę, bo zostawiłeś trochę włosów w łazience albo wyjadłeś im trochę twarożku. Ale był też ostatnią osobą, którą posądziłbym o to, że ze sobą skończy. Udałem, że go nie zauważyłem, i chciałem pójść dalej, ale on mnie zobaczył i wrzasnął za mną:

– Chaim! Miałem nadzieję, że cię tu spotkam.

Zatrzymałem się.

– Sie ma, Cici – skrzywiłem się. – Co słychać. Co tu robisz?

– To, co wszyscy – bąknął Cici. – To, co wszyscy. Wiesz, to nawet ma związek z tobą.

– Co się stało? – spytałem. – Zostawiłem po sobie brudną kuchnię?

– Uch – zachichotał. – Zawsze byłeś zabawny – i opowiedział mi ze szczegółami, jak wyskoczył z okna naszego mieszkania (trzecie piętro z wysokim parterem) na ulicę. I o tym, jak całą drogę miał nadzieję, że to się stanie natychmiast, ale ponieważ źle wylądował: jedną połową ciała na samochodzie, a drugą na żywopłocie, upłynęło kilka godzin, zanim wreszcie wykitował. Powiedziałem mu, że ciągle nie rozumiem, jaki to ma związek ze mną. On powiedział, że bardzo luźny, ale mimo wszystko.

– Wiesz – wygiął plecy do tyłu i oparł się o półkę z płatkami śniadaniowymi. – Mówi się, że samobójstwa zawsze chodzą trójkami. Coś w tym jest. Ludzie wokół ciebie umierają i zaczynasz myśleć o sobie. Czym się od nich różnisz, co cię tak naprawdę trzyma przy życiu. Na mnie to spadło jak deszcz scudów. Po prostu nie mogłem znaleźć odpowiedzi. Nawet mniej twoje samobójstwo, bardziej Argi...

– Argi? – przerwałem mu w pół słowa.

– Tak, Argi. Jakoś miesiąc po twoim pogrzebie. Byłem pewien, że wiesz.

Za ladą jeden z pracowników „Super Deal" przywalił karpiowi po głowie młotkiem, a ja czułem, jak łzy leją mi się po policzkach. Odkąd tu wylądowałem, nie płakałem ani razu.

– Nie bądź smutny – Cici dotknął mnie spoconą ręką. – Lekarze powiedzieli, że nic nie czuła; że umarła natychmiast.

– Kto tu jest smutny? Zwariowałeś – pocałowałem go w czoło. – Ona tu jest. Nic nie łapiesz? Muszę ją tylko znaleźć.

Z daleka widziałem, jak kierownik zmiany tłumaczy coś Gelfandowi, który znudzony kiwa głową. Zdaje się, że już zrozumiał, że nie dostaniemy nagrody.

Rozdział ósmy,
w którym Ari próbuje nauczyć Chaima czegoś o życiu i bardzo szybko daje za wygraną

– Nigdy w życiu jej nie znajdziesz – powiedział Gelfand i wyjął piwo z lodówki. – Mogę się z tobą założyć, o co chcesz.

– O piwo – uśmiechnąłem się i dalej pakowałem torbę.

– O piwo – przedrzeźniał mnie Gelfand. – Debilu, czy ty wiesz, ile trupów tu chodzi? Nie masz pojęcia. Obydwaj kręcimy się tu po kawałku małym jak kafel na podłodze, najwyżej metr na metr, a i tak nie znamy połowy tych ludzi. Dokąd pójdziesz jej szukać? Do chuja? Możliwe, że ta Warga mieszka piętro nad tobą!

– Arga – poprawiłem.

– Arga, Warga, Srarga, co za różnica – otworzył piwo o kant stołu. – Jeszcze jedna głupia cipa.

Zignorowałem go i pakowałam się dalej.

– Arga – co to w ogóle znaczy? – uśmiechnął się Gelfand. – To jak orgazm, tylko bardziej po naszemu, nie?

– Coś takiego – odpowiedziałem; nie chciało mi się z nim kłócić.

– Co za zboczeni rodzice dają tak na imię swojej córeczce? Słyszysz, Chaim? Jak już ją znajdziesz, musisz mi przedstawić jej mamę.

– Obiecuję – podniosłem do góry trzy palce prawej ręki. – Słowo harcerza.

– Gdzie chcesz zacząć? – wzruszył ramionami.

– Arga zawsze mówiła, że nienawidzi miasta, że chce mieszkać w jakimś bardziej otwartym miejscu; no wiesz: pies, ogród...

– To nic nie znaczy – zaprotestował Gelfand. – Laski zawsze tak mówią, a potem wynajmują mieszkanie w centrum razem z jakimś, kurna, kujonem. Mówię ci: możliwe, że ona mieszka sto metrów stąd.

– Sam nie wiem. Jestem prawie pewien, że nie ma jej w mieście. – Pociągnąłem łyka z jego butelki. – Intuicja. Najwyżej po prostu przejedziemy się na wycieczkę.

– Przejedziemy się? – spytał Gelfand z zainteresowaniem.

– Tak mi się tylko powiedziało – uspokoiłem go. – Nawet przez chwilę nie myślałem, że pojedziesz ze mną z powodu jeszcze jednej głupiej cipy. Poza tym jestem świadomy, że masz mnóstwo zobowiązań.

– Odpierdol się – zdenerwował się Gelfand. – Nie przeginaj pały.

– Wcale nie przeginam – odpowiedziałem. – Właśnie ci tłumaczę. Wcale nie myślę, że ze mną pojedziesz.

– Daj mi chociaż jeden dobry powód, to pojadę. Żebyś nie myślał, że mam jakąś obsesję albo co.

– Kocham ją – spróbowałem.

– Wcale jej nie kochasz – przecząco pokręcił głową. – To dokładnie tak, jak z twoim głupim samobójstwem. Po prostu faszerujesz sobie głowę słowami.

– Dlaczego? Twoje samobójstwo było niby inteligentne?

– Nie chcę się z tobą kłócić, Chaim. Po prostu staram się coś ci powiedzieć, sam nie wiem co – usiadł koło mnie. – Powiedzmy w ten sposób: odkąd tu wylądowałeś, ile lasek

zaliczyłeś?

– Czemu?

– Tak po prostu.

– Żeby rzeczywiście się pieprzyć... Wydaje mi się, że żadnej.

– Wydaje ci się?

– Żadnej – poddałem się. – Jaki to ma związek?

– Ma. Zaraz cię sperma rozsadzi. Rozumiesz? Otwierasz oczy i widzisz szarość. To już doszło do takiego stopnia, że uciska ci mózg, i myślisz, że przeżywasz i czujesz coś, czego nikt inny przed tobą nie przeżywał, i że to jest tak mocne, że warto umrzeć, zostawić wszystko, przeprowadzić się do Galilei. Mieszkałeś kiedyś w Galilei? Wiesz, że...

– Daj spokój, Ari, nie mam na to siły – przerwałem mu. – Daj mi tylko samochód, OK? I bez pieprzenia o ubezpieczeniu. Jak coś rozpierdolę, to zapłacę.

– Tylko się nagle nie obrażaj – położył mi rękę na ramieniu. – Wcale nie powiedziałem, że to zły powód. Nawet nie powiedziałem, że z tobą nie pojadę. Może masz rację, może ci tylko pieprzę w głowie, może ta Warga naprawdę jest wyjątkowa...

– Arga – znów go poprawiłem.

– Sorry.

– Wiesz co? Zapomnij o cipach, o miłości i o wyrzutach – zmieniłem taktykę. – Mam jeszcze jeden powód i może to cię przekona.

– No? – Gelfand udał, że nie jest zainteresowany, i przyłożył do ust pustą butelkę po piwie.

– Masz coś lepszego do roboty?

Rozdział dziewiąty,
w którym dwaj towarzysze wyruszają na poszukiwanie Argi i zamiast niej znajdują Arabów

Gelfand obiecał rodzicom, że będzie do nich codziennie dzwonił, i już po przejechaniu pierwszego kilometra zaczął szukać telefonu.

– Człowieku, uspokój się – powiedziałem. – Byłeś w Ameryce Południowej, byłeś w Indiach, wpieprzyłeś sobie kulę dum-dum w łeb. To nie w twoim stylu zachowywać się jak dzieciak na obozie harcerskim.

– Chaim, ostrzegam cię: nie zaczynaj – wycedził przez zęby, prowadząc samochód. – Przyjrzyj się temu miejscu. Co za kolesie się tu kręcą. W ogóle nie wiem, czemu tu z tobą przyjechałem.

Ludzie, którzy kręcili się na zewnątrz, byli bardzo podobni do ludzi z naszej okolicy. Mieli trochę przygaszone spojrzenia i krzywe nogi. Jedyną różnicą było to, że Gelfand ich nie znał, i to wystarczyło, żeby dostał paranoi.

– To nie żadna paranoja, nie łapiesz? To wszystko Arabowie! Mówiłem ci, że trzeba było jechać na północ. Wiadomo, że wszystkie cipy są na północy. Za miastem są tylko wieśniaki.

– Nawet jeśli to Arabowie – powiedziałem – to co?

– Nie wiem. Arabowie-samobójcy, to cię nie rusza? Nawet trochę? A jak wpadną na to, że jesteśmy z Izraela?

– To nas jeszcze raz zabiją. Nie kapujesz, że ich to też wcale nie rusza? Oni są martwi. My jesteśmy martwi. Koniec.

– No, nie wiem – wymamrotał Gelfand. – Nie lubię Arabów. To nawet nie polityka, to coś etnicznego.

– Słuchaj, Ari: nie dość masz paskudnych cech? Musisz jeszcze być rasistą?

– Wcale nie jestem rasistą – skrzywił się Gelfand. – Ja po prostu... Wiesz co, może jestem trochę rasistą. Ale tylko trochę.

Zaczęło się ściemniać. Gelfand już od dawna nie miał świateł w swoim starym prince'u, więc musieliśmy zatrzymać się na noc. Zamknął drzwi od wewnątrz i uparł się, że będziemy spali w samochodzie. Rozłożyliśmy siedzenia i staraliśmy się udawać, że już śpimy. Raz na jakiś czas Ari teatralnie się przeciągał i przewracał z jednego boku na drugi. To było naprawdę żałosne. Po godzinie nawet on miał dosyć. Podniósł siedzenie i powiedział:

– Wstawaj, pójdziemy znaleźć jakiś pub.

– A Arabowie?

– Niech się jebią – odpowiedział. – Najwyżej im spuścimy wpierdol, jak w wojsku.

– Nie byłeś w wojsku – znęcałem się nad nim. – Psychiatra cię zwolnił.

– Nie musiałem być – Ari wysiadł z samochodu i słabo spróbował zatrzasnąć drzwi. – Widziałem w telewizji.

Rozdział dziesiąty,
w którym Ari żałuje, że nie poszedł do wojska, i w którym okazuje się, jak trudno wyprowadzić zmarłych z równowagi

W końcu okazało się, że Ari miał rację, i że to była arabska okolica. Ale ja też miałem rację, bo nikogo nie interesowało, co mieliśmy napisane w paszportach, zanim ze sobą skończyliśmy. Ich pub nazywał się „Dżin", tak jak duch, co go Aladyn uwolnił z lampy. I jak alkohol, co go dziewczyny i mięczaki, co boją się whisky, mieszają z tonikiem. Ari powiedział, że to nie jest nadzwyczajna nazwa, ale przy „Trup-pub" naprawdę wszystko brzmi nieźle. Siedzieliśmy przy barze. Barman wyglądał na jednego z tych, co skończyli naprawdę źle. I w kawałkach. Ari próbował mówić do niego po angielsku, ale on usłyszał akcent i odpowiedział łamanym hebrajskim.

– Nie ma piwo w butelka, tylko z beczki.

Jego twarz wyglądała jak układanka, którą komuś znudziło się układać w samym środku:

połowa wąsów po prawej stronie nosa i nic po lewej.

– Więc podaj, bracie, z beczki – Ari klepnął go po ramieniu. – Wypijemy jednego za chłopaków z jednostki operacyjnej, nie, Ahmed?

– Nasr – poprawił go barman i zaczął napełniać szklanki. – Co to jest jednostka operacyjna? Byłeś w wojsku? – spytał, nalewając.

– Tak – skłamał Ari. – Rozwalałem Arabów.

– Dobre – Nasr podał piwo Ariemu, a kiedy podawał mi moje, szepnął: – Trochę popieprzony ten twój kumpel, nie?

– Trochę? – uśmiechnąłem się.

– Daj spokój – uspokajał Nasr. – Taki już, jak to się u was mówi, jego urok.

– No – Ari wypił pół szklanki jednym haustem. – Taki już mój urok.

– Kiedy żył, nie poszedł do wojska i teraz go to gryzie – wyjaśniłem.

– A właśnie że byłem – upierał się Ari – nawet podpisałem kontrakt na spluwę. – Wskazał palcem na swoją dziurawą skroń i udał, że pociąga za spust. – W woju za wszystko dostaje się punkty. Powiedz no, Nasr, jak ze sobą skończyłeś? – Było jasne, że próbuje wywołać kłótnię, bo jeżeli o coś się tu nie pyta, to właśnie o to, jak kto ze sobą skończył. Ale Nasr lał na wszystko tak bardzo, że nawet Ari nie miał szans go sprowokować.

– Bum – posłał zmęczony uśmiech i zatrząsł swoim porozrywanym ciałem. – Co? Nie widać?

– OK – powiedział Ari. – Bum! Ilu zabiłeś?

Nasr pokiwał głową i nalał sobie wódki. – Skąd mam wiedzieć?

– Co? – zdziwił się Ari. – Nie pytałeś tu nikogo? Na pewno niejeden zjawił się tu po tobie.

– O coś takiego się nie pyta. – Nasr wypił wódkę jednym haustem.

– Powiedz mi, gdzie i kiedy – upierał się Ari. – Może przekręciłem się po tobie i będę mógł ci powiedzieć...

– Daj spokój – na chwilę Nasr zrobił się poważny. – Po co?

– Pełno tu dziś wieczorem – spróbowałem zmienić temat.

– Tłok – uśmiechnął się Nasr. – Każdej nocy, ale co z tego. Prawie sami faceci. Raz na jakiś czas może ze dwie dziewczyny. Czasami turystka. Ale rzadko.

– Powiedz – drążył Ari. – To prawda, co mówią, że zanim pójdziecie na akcję, obiecują wam w przyszłym świecie siedem superdziewic-nimfomanek? Tylko dla ciebie, solo?

– Obiecują – powiedział Nasr. – I zobacz, jak to się skończyło. Stoczyłem się w wódę.

– W końcu okazało się, że jesteś frajer, nie, Nasr? – ucieszył się Ari.

– Dobra – wymamrotał Nasr. – A tobie co obiecali?

Rozdział jedenasty,

w którym Chaimowi śni się, że razem z Argą kupują kanapę, a potem budzi się w brutalnej rzeczywistości

W nocy w samochodzie śniło mi się, że Arga i ja idziemy kupić kanapę. Sprzedawca to ten Arab z pubu, którego denerwował Ari. Pokazuje nam różne modele, a my nie możemy się zgodzić. Arga upiera się przy jednej syfiastej, obitej na czerwono, a ja chcę coś innego, nie pamiętam dokładnie co. Zaczynamy się kłócić na środku sklepu, nie tak po prostu, tylko naprawdę wrzeszczymy na siebie. Kłótnia staje się coraz obrzydliwsza, zaczynamy się nawzajem obrażać, aż nagle, we śnie, opanowuję się.

– Daj spokój. Jakie ta cała kanapa ma znaczenie? Najważniejsze, że jesteśmy razem. – Kiedy to mówię, ona się do mnie uśmiecha, a ja, zamiast też się do niej uśmiechnąć, budzę się w samochodzie. Na siedzeniu obok mnie Ari kręci się i klnie na różnych ludzi, którzy go wpieniali we śnie.

– Zamknij się – powiedział do jednego, który najwidoczniej naprawdę przesadził. – Jeszcze słowo i zrobię ci tort na głowie.

Tamten widocznie nie przestał, bo Ari poderwał się tak, że uderzył żebrami w kierownicę. Kiedy się rozbudził, otworzyliśmy okna i zapaliliśmy papierosy.

– Jutro kupujemy wigwam albo igloo, czy jak się inaczej mówi na to gówno z plastiku, co się je kupuje w sklepie sportowym – zdecydował Ari.

– Namiot – powiedziałem. – Niech będzie namiot. Ostatni raz śpimy w samochodzie.

Zaciągnął się i wyrzucił papierosa przez okno.

– Ten Arab z pubu był nawet w porządku. Piwo było gówniane, ale ten Nasr całkiem równy. Wiesz, co właśnie mi się śniło?

– Wiem – odpowiedziałem. Zaciągnąłem się resztką papierosa. – Że srasz mu na łeb.

Rozdział dwunasty,
w którym dwaj towarzysze zabierają autostopowiczkę, niezłą laskę, i próbują nawiązać rozmowę

Rano Ari i ja zabraliśmy autostopowiczkę, co jest dość dziwne, jeśli się nad tym zastanowić, bo przecież nikt tu naprawdę nie jeździ stopem. Ari zobaczył ją już z daleka.

– Spójrz na to – powiedział przez zęby. – Ale laska. Umieram!

– Kot? – zapytałem z na wpół przymkniętymi powiekami.

– Nie zwyczajny kot – poniosło Ariego – tylko prawdziwy kociak, przysięgam. Gdybyśmy byli gdzie indziej, to w życiu nie wpadłbym na to, że może być martwa.

Zawsze był napalony i zazwyczaj przesadzał, ale tym razem miał całkowitą rację. Miała w oczach coś pełnego życia, coś, czego nie widzi się tu często. Kiedy ją minęliśmy, dalej patrzyłem na nią w lusterku. Długie, czarne włosy i plecak, taki jak te, co je noszą alpiniści.

Nagle zobaczyłem, że podnosi rękę. Ari też zobaczył i wcisnął hamulec. Samochód za nami prawie wjechał nam w dupę, ale w ostatniej chwili udało mu się nas wyminąć. Ari wrzucił wsteczny i zatrzymaliśmy się tuż koło niej.

– Wskakuj, siostro – bez powodzenia próbował udawać nonszalancję.

– Dokąd jedziecie? – spytała z zainteresowaniem.

– Na wschód – odpowiedziałem.

– Gdzie na wschód? – pytała dalej, pakując swój plecak tylnymi drzwiami i wsiadając do samochodu.

Wzruszyłem ramionami.

– Czy wy w ogóle wiecie, dokąd jedziecie?

– Jesteś tu od niedawna, nie? – zaśmiał się Ari.

– Czemu? – spytała urażona.

– Inaczej byś wiedziała, że tu nikt nie wie. Gdybyśmy my wiedzieli, nigdy byśmy tu nie skończyli.

Nazywała się Lihi i opowiedziała, że rzeczywiście pojawiła się tu niedawno i od tamtego czasu podróżuje autostopem, szukając ludzi odpowiedzialnych za to miejsce.

– Odpowiedzialnych? – śmiał się Ari. – Myślisz, że to country club i że znajdziesz biuro kierownika? Tu jest prawie dokładnie tak samo, jak zanim ze sobą skończyliśmy. Odrobinę gorzej. Powiedz mi: kiedy jeszcze żyłaś, próbowałaś kiedyś znaleźć Boga?

– Nie – powiedziała Lihi i dała mi gumę do żucia. – Ale też specjalnie nie miałam powodu.

– A jaki powód masz teraz? – zaśmiał się Ari i też wziął gumę. – Zaczęłaś żałować? Bo wiesz, jeżeli to o to chodzi, jeżeli już spakowałaś plecak i szukasz kogoś, kto by ci załatwił wizę powrotną...

– Powiedz mi – przerwałem mu, zanim zdążył ją naprawdę obrazić – dlaczego podniosłaś rękę dopiero, jak cię minęliśmy?

– Nie wiem – Lihi wzruszyła ramionami. – Jakoś nie byłam pewna, czy chcę się z wami zabrać. Z daleka wydawaliście się, hm... trochę...

– Nieprzewidywalni? – spróbował Ari.

– Nie – uśmiechnęła się Lihi. – Nudni.

Rozdział trzynasty,
w którym Chaim nie traci nadziei, Ari dalej się skarży, a Lihi chodzi w długich rękawach

Upłynęło pięć dni, odkąd zabraliśmy ze sobą Lihi. Ari ciągle zbiera góry drobnych i cały czas szuka telefonu. Nie ma dnia, w którym by nie rozmawiał z rodziną przynajmniej godzinę, a kiedy Lihi i ja próbujemy się z tego naśmiewać, natychmiast się obraża. Na

szczęście już tak nie wariuje z powodu ubezpieczenia wozu i we trójkę zmieniamy się za kierownicą. Mamy za sobą niezłą trasę, chociaż z powodu awarii świateł prince'a nie możemy jechać nocą.

Miasto wokół nas zaczyna się przerzedzać. Widać mniej budynków i mniej ludzi, za to więcej nieba i parterowych domków z ogródkami, mimo że wszystko w nich więdnie. Namiot, który kupiliśmy, to niezła inwestycja i zaczynamy się do niego przyzwyczajać. Każdej nocy śnię ten idiotyczny sen o kłótni z Argą. Każdej nocy w końcu się godzimy, a kiedy się budzę, Ari mówi, że w życiu jej nie znajdziemy, ale że nie ma nic przeciwko temu, żeby ciągnąć to dalej, dopóki mi się nie znudzi. Zawsze upiera się, żeby rozmawiać o Ardze, kiedy jest przy nas Lihi. Ona myśli, że mam szansę, ale Ari nie zwraca na nią uwagi. Wczoraj, kiedy wysiedliśmy z samochodu, żeby się odlać, zaczął się skarżyć, że odkąd ona jest z nami, wszystko zaczęło się robić trochę trudne.

– Przecież nie możemy jej obaj posuwać, nie? – powiedział, kiedy otrząsał członka. – Kiedy byliśmy sami, można było przynajmniej opowiadać zbereźne kawałki.

– Opowiadaj – odpowiedziałem. – Kto ci broni?

Skończyliśmy już sikać, ale nie ruszaliśmy się z miejsca. – Ogólnie masz rację – przyznał – ale obydwaj wiemy, że otworzyć gębę przy panience to już nie to samo. Wtedy to zawsze brzmi mniej spontanicznie. Bardziej jak prowokacja.

Wróciliśmy do samochodu i zmieniłem Ariego za kierownicą. Lihi cały czas drzemała w swoim dresie na tylnym siedzeniu. Odkąd ją wzięliśmy, ani razu nie widziałem jej w krótkich rękawach. Ari był gotów się założyć, że podcięła sobie żyły, ale żaden z nas nie miał odwagi zapytać się, jak i dlaczego ze sobą skończyła. To nie było znowu takie ważne. Kiedy śpi, jest słodka i taka spokojna, i poza tą dziwną historią z szukaniem odpowiedzialnych naprawdę w porządku. Myślę, że mimo ciągłego zrzędzenia Ari trochę się w niej podkochuje. Może zrzędzi właśnie po to, żebym go nie przyłapał. Tak naprawdę to i mnie czasem przychodzi do głowy, że nie znajdę Argi i że Lihi może na mnie leci, ale duszę tę myśl, jak tylko się pojawia. Poza tym czuję, że Arga jest naprawdę blisko. Ari mówi, że to bzdury, że na pewno jest na drugim końcu świata i że w ogóle, gdziekolwiek by była, na pewno już kogoś ma. Pewnie jakiegoś Murzyna, co się powiesił na szubienicy z własnego chuja. Ale ja czuję, że ona jest już blisko i że ją znajdę. A to, że mój najlepszy kumpel jest rozdarty i przybity, wcale nie znaczy, że ja też muszę.

Rozdział czternasty,
który zaczyna się cudem i kończy prawie klęską

Wieczorem, kiedy szukaliśmy już miejsca na postój, zdarzyło się coś dziwnego. Prowadziła Lihi. Ciężarówka, która chciała nas wyprzedzić, zatrąbiła głośno, Lihi przestraszyła się i zjechała na pobocze, żeby ją przepuścić, i kiedy włączyła kierunkowskaz,

że chce wracać na drogę, światła prince'e nagle się zapaliły. Ari, który siedział na tylnym siedzeniu, był w ekstazie.

– Jesteś czarodziejką! Jesteś geniuszem! – pocałował Lihi, która przez ten jego zachwyt prawie straciła panowanie nad kierownicą. – Jesteś Florence Nightingale samochodu. Co ja mówię, jaka Nightingale. Maria Curie, Mania Shochet.

– Ari, uspokój się – śmiała się Lihi. – To tylko światła.

– Tylko światła? – popatrzył na nią ze współczuciem. – Jaka ty jesteś naiwna. Genialna i naiwna. Wiesz, ilu fachmanów nurkowało pod maską tego starego prince'a? Zapomnij o fachmanach. Fizyków atomowych, holistycznych uzdrowicieli maszyn ciężkich. Ludziom, którzy rozbierają i składają od nowa silnik Diesla w dziesięć sekund z zawiązanymi oczami, nie udało się go naprawić, dopóki ty się nie zjawiłaś – głaskał ją po szyi. Wyglądało na to, że spontaniczny zachwyt Ariego już się skończył, i że odstawia tę szopkę tylko po to, żeby mieć wymówkę i jeszcze trochę jej podotykać.

– Wiesz, co to znaczy – powiedziałem. – To znaczy, że będziemy mogli jechać nocą.

– OK – powiedział Ari. – Ale pierwsza rzecz, jaką zrobimy, jak będziemy jechać dziś w nocy z tymi pięknymi do bólu światłami, to urżniemy się w trzy dupy.

Ruszyliśmy dalej, szukając po drodze jakiegoś pubu. Za miastem było dosyć pusto. Raz na pół godziny mijaliśmy bar z hamburgerami albo pizzerię. Po czterech godzinach Ari dał za wygraną i zatrzymaliśmy się, żeby zrobić imprezę gdzieś, gdzie sprzedawali lody. Ari poprosił o coś najbardziej zbliżonego do alkoholu, a panna za ladą odpowiedziała, że mają tylko lody o smaku likieru wiśniowego.

– Powiedz no, Sandra – odezwał się Ari, patrząc na plakietkę z jej imieniem. – Ile wafli potrzeba, żeby się urżnąć? – Pod imieniem był narysowany symbol sieci: foka w czapce clowna na monocyklu, a pod nią hasło: „Mniej pieniędzy – więcej smaku".

– Nie wiem – Sandra wzruszyła ramionami.

– No to daj cztery kilo – stwierdził Ari. Sandra zręcznie napełniła plastikowe pojemniki. Wydawała się trochę zmęczona, ale jej oczy cały czas były szeroko otwarte. Kiedy ze sobą kończyła, to musiała być nagła śmierć. W drodze do samochodu Lihi zatrzymała się przed kartką, na której było napisane, jak pracownicy powinni się zachowywać: grzecznie zwracać się do klientów, po wyjściu z kibla myć ręce itp. Kiedy pracowałem w pizzerii „Kamikaze", też mieliśmy taką kartkę przed wejściem do kibla, chociaż ja, żeby czuć się trochę bardziej jak indywidualista, nigdy nie myłem rąk po kupie.

– W takich miejscach jest coś obleśnego – powiedziała Lihi, kiedy jedliśmy lody w samochodzie. – Zawsze kiedy wchodzę, mam nadzieję, że zdarzy się coś niespodziewanego: że sprzedawca będzie miał plakietkę z imieniem do góry nogami, zapomni włożyć czapkę albo że po prostu powie: „Daj sobie spokój. To jest żarcie dla świń", ale nigdy tak się nie dzieje. Wiecie, o co mi chodzi?

– Taa...? – Ari wyrwał jej pojemnik z lodami. – Właściwie, to nie... Może się zamienimy?

– Widać było, że już się nie może doczekać, żeby poprowadzić z działającymi światłami.

Jakiś kilometr po tym, jak się zamienili, droga skręcała w prawo. Zaraz za zakrętem na jezdni leżał wysoki, chudy koleś w okularach, który nie przestał chrapać, nawet kiedy Ari zjechał z szosy i uderzył w drzewo. Wydostaliśmy się z samochodu. Żadne z nas nie było ranne, ale prince był w opłakanym stanie.

– Powiedz no – Ari podbiegł do leżącego na jezdni człowieka i zaczął nim potrząsać. – Pojebało cię?

– Wręcz przeciwnie – odpowiedział tamten, podnosząc się na nogi z zadziwiającą szybkością, i wyciągnął do niego rękę. – Jestem Rafael, Rafael Kneller. Ale możecie mi mówić Rafi. – Kiedy zobaczył, że Ari nie ma zamiaru podać mu ręki, zmrużył oczy i zaczął się dopytywać: – Co to za zapach? Lody? – a zaraz potem, nie czekając na odpowiedź, dodał: – Może widzieliście tu gdzieś przypadkiem psa?

Rozdział piętnasty,
w którym Kneller objawia wielką gościnność i trochę paranoi oraz tłumaczy, czemu jego dom to nie są prawdziwe kolonie

Kiedy Ari już się trochę uspokoił, obejrzeliśmy samochód. Okazało się, że to beznadzieja. Gdy Kneller zrozumiał, że to wszystko przez niego, było mu strasznie głupio i bez żadnego związku zaproponował, żebyśmy przenocowali u niego. Po drodze nie przestawał mówić. Przy każdym kroku jego ciało podskakiwało na wszystkie strony, jak gdyby chciał iść w wielu kierunkach naraz, i nie mógł się zdecydować. W ogóle ten cały Kneller wyglądał na kompletnego wariata, chociaż zupełnie nieszkodliwie. Nawet pachniał jak dupka niemowlaka. Ciężko było sobie wyobrazić, jak ze sobą skończył.

– Zazwyczaj o tej porze nie kręcę się na zewnątrz, ale dziś wyszedłem poszukać mojego psa, Frediego, który się zgubił. Nie widzieliście go przypadkiem? I nagle ta idylla tutaj mną zawładnęła. To przecież takie naturalne. Kto nie lubi czasem zdrzemnąć się trochę między drzewami, no, wiecie, na łonie natury? – Kneller machał rękami i starał się wytłumaczyć całe zdarzenie. – Ale żeby tak, na środku jezdni? No, naprawdę, to okropnie nieodpowiedzialne. Bardziej niż lekkie narkotyki – mrugnął do nas, ale kiedy zobaczył, że Ari ciągle jest poważny, szybko dorzucił: – Narkotyki w przenośni, ma się rozumieć, nikt tu naprawdę nie przypala.

Dom Knellera wyglądał dokładnie tak, jak te kretyńskie domki, które rysowaliśmy w przedszkolu: kwadratowy, z dachem pokrytym dachówką, z zielonym drzewkiem na podwórku i żółtym światłem w oknach. Przy wejściu do domu wisiała wielka tablica, na której drukowanymi literami było napisane „Do wynajęcia”, a na tym ktoś nabazgrał na niebiesko „Kolonie Knellera”. Kneller wyjaśnił, że jego dom wcale nie jest do wynajęcia. To znaczy był kiedyś, ale to on go wynajął. To też nie kolonie. To po prostu taki mało śmieszny

żart jednego kumpla, który mieszka u niego już od dawna i który wymyślił, że przez tych wszystkich gości i atrakcje, które Kneller dla nich przygotowuje, dom jest jak obóz dla dzieci.

– Niech no tylko zobaczą lody – uśmiechnął się i wskazał palcem na pojemnik, który Lihi ściskała w dłoni. – Zupełnie oszaleją.

Rozdział szesnasty,
w którym Lihi dokonuje małego cudu, a Ari zakochuje się w Eskimosce

Jesteśmy tu prawie miesiąc i Kneller pogodził się już z myślą, że jego pies Fredi nie zamierza wrócić. Wygląda też na to, że pomoc drogowa, którą Ari zamówił, nigdy nie przyjedzie. Jeszcze w zeszłym tygodniu nie dawał tu nikomu żyć, dzwonił pod różne numery i próbował znaleźć jakiś sposób, żeby wrócić do domu, ale potem poznał jedną miłą Eskimoskę, która jest wystarczająco „nie stąd", żeby nie poznać się na jego charakterze, i odkąd są razem, coraz mniej go ciśnie, żeby jechać dalej. I mimo że ciągle dzwoni do swoich rodziców, teraz rozmawiają głównie o niej. Na początku to miejsce niepokoiło i mnie. Goście z całego świata – wszyscy bardzo pozytywni – jak ze sobą skończyli, odkryli drugą część imprezy. Coś między reklamą Benettona a dobranocką o Żwirku i Muchomorku. Tylko że są naprawdę mili. Trochę jakby pozbawieni życia, ale próbują wycisnąć maksimum z tego, co mają. A między nimi kręci się Kneller i macha rękami jak dyrygent przed orkiestrą. Opowiedziałem Lihi, że kiedy byłem w liceum, w książce do fizyki było zadanie o Cudmenie, tak się nazywał, który skoczył z dachu i spadając mierzył czas stoperem. Nie było napisane, jak wyglądał, ale zawsze wyobrażałem go sobie jak Knellera: cyborga – mózgowca, ale bardzo nie stąd. Lihi spytała, co się stało na końcu zadania. Odpowiedziałem, że nie pamiętam dobrze, ale Cudmen na pewno się uratował, bo to była przecież książka dla młodzieży. Lihi powiedziała, że jeśli tak, to to na pewno był Kneller. Łatwo sobie wyobrazić, że skacze z dachu, ale nie można sobie wyobrazić, jak uderza o ziemię. Rano poszliśmy popracować trochę w ogrodzie. Do dziś nie udało się w nim wyhodować nic poza marihuaną. W środku pracy Lihi odkręciła kran, żeby się trochę napić i nagle, zamiast zwykłej wody, poleciała mineralna. Obydwoje wpadliśmy w zachwyt, ale Kneller wcale nie wyglądał na poruszonego.

– Olejcie to – powiedział z dezaprobatą. – To się dzieje ciągle.

– Co? – zastanowiłem się.

– No, takie rzeczy. – Kneller dalej ryt rabatkę.

– Cuda? – spytałem. – Bo wiesz, Rafi, Lihi może nie zmieniła wody w wino, ale różnica nie jest wcale taka wielka.

– Wystarczająca – odpowiedział Kneller. – Jeżeli chcesz to nazwać cudem, niech ci będzie, ale to jest cud bez żadnego znaczenia. Pełno tu tego śmiecia. Dziwne, że w ogóle zwróciliście uwagę.

Lihi i ja nie zrozumieliśmy. Kneller wytłumaczył nam, że to jedna z najbardziej charakterystycznych cech tej okolicy: ludzie mogą tu robić najbardziej niewiarygodne rzeczy, na przykład zamieniać kamienie w kwiaty, zmieniać kolory zwierząt, nawet trochę lewitować w powietrzu, ale to wszystko jest mało znaczące i nigdy niczego nie zmienia. Powiedziałem mu, że to fantastyczne. Jeżeli naprawdę dzieje się tego tak dużo, to może można zrobić z tego jakiś występ, taki show iluzjonistów, może można by to nawet transmitować w telewizji.

– Właśnie próbuję ci wytłumaczyć – Kneller energicznie odrzucał ziemię – że nie można, bo kiedy ludzie przyjdą specjalnie po to, żeby to oglądać, to już nie zadziała. Takie rzeczy naprawdę dzieją się tylko wtedy, kiedy niczego nie zmieniają. To tak, jakbyś, dajmy na to, odkrył, że idziesz po wodzie, to się tu zdarza od czasu do czasu, ale tylko pod warunkiem że nic na ciebie nie czeka po drugiej stronie i że nie ma w pobliżu żadnego histeryka, który zrobiłby z tego aferę.

Lihi opowiedziała mu o światłach prince'a w nocy, kiedy się spotkaliśmy, a on odpowiedział, że to klasyczny przypadek.

– Nie sądzę, żeby naprawienie świateł w samochodzie nie miało znaczenia – sprzeciwiłem się.

– Jeżeli pięć minut później walisz w drzewo, to właśnie nie ma.

Rozdział siedemnasty,
w którym Lihi opowiada Chaimowi coś intymnego, a Ari upiera się, że to dyrdymały

Od czasu rozmowy z Knellerem zacząłem być bardziej świadomy wszystkich cudów. Wczoraj poszliśmy z Lihi na spacer. Zatrzymała się na chwilę, żeby zasznurować but, kiedy nagle zobaczyłem, jak kamień, na którym przed chwilą postawiła stopę, spada w odwrotną stronę – w niebo, i znika, tak po prostu, bez żadnego powodu. A dzień wcześniej, kiedy Ari poszedł uporządkować kule na stole do bilarda, jedna z nich zamieniła się w jajko. Tak naprawdę nie mogę się doczekać, kiedy dokonam swojego pierwszego cudu, nieważne jakiego, niech będzie nawet bzdura. Kneller mówi, że to, że tak bardzo chcę, już coś zmienia, i dlatego w życiu mi się nie uda. Być może ma rację, ale to jego tłumaczenie jest jakieś pokręcone i nielogiczne. Kneller twierdzi, że to nie tłumaczenie, tylko to miejsce wokół nas jest pokręcone i nielogiczne. W jednej chwili ktoś ze sobą kończy i trrrach! Chwilę później znajduje się tu z bliznami i obciążoną hipoteką. W ogóle to czemu tylko samobójcy, czemu nie po prostu zmarli? Nie ma w tym żadnego ukrytego sensu, to po prostu nielogiczne. Tak jest i koniec. Poza wszystkim innym może to nie jest rewelacja, ale mogło być dużo gorzej. Ari cały czas spędza ze swoją nową dziewczyną. Jest tu niedaleko rzeka i ona uczy go pływać kajakiem i łowić ryby, co jest dość dziwne, bo przynajmniej ja nie widziałem tu żadnych zwierząt ani o nich nie słyszałem, może poza psem Knellera, ale nie jestem naprawdę pewien, czy on istnieje. Ari niewiele może dać jej w zamian, więc żeby nie mieć wrażenia, że ją

wykorzystuje, uczy ją nazwisk piłkarzy i przekleństw po hebrajsku. Większość czasu spędzam z Lilii. Kneller ma w komórce kilka rowerów, na których dużo jeździmy. Opowiedziała mi o tym, jak ze sobą skończyła, i okazało się, że to nie było samobójstwo, tylko że zmarła z przedawkowania. Ktoś zaproponował jej, żeby sobie coś tam wstrzyknęła. To był pierwszy raz ich obojga i wygląda na to, że coś tam spieprzyli. Dlatego wierzy, że wylądowała tu przez pomyłkę, i że jeżeli tylko znajdzie kogoś, z kim będzie mogła porozmawiać, natychmiast ją stąd przeniosą. Nie myślę, żeby rzeczywiście miała szansę znaleźć kogoś takiego, ale sądzę też, że lepiej jej tego nie mówić. Lihi prosiła, żebym nikomu nie powtarzał, ale opowiedziałem Ariemu, który stwierdził, że to bzdury, że nikt nie trafia tu przez pomyłkę. Opowiedziałem mu o tym, co powiedział Kneller, że to miejsce to jedna wielka pomyłka i że skoro kula bilardowa mogła zamienić się w jajko, to możliwe, że Lihi trafiła tu przez pomyłkę.

– Wiesz, co mi to przypomina? – wymamrotał Ari, wpychając sobie do ust tosta. – Te filmy, w których koleś trafia do więzienia, i różni ludzie przychodzą do niego i mówią, że są niewinni, ale po gębach widać, że są winni jak cholera. Wiesz, że uwielbiam Lihi, ale po co te wszystkie dyrdymały o przedawkowaniu? Widziałeś kiedyś w Tel Awiwie kogoś, kto sobie coś wstrzykuje? Ludzie w Izraelu boją się zastrzyków przeciwtężcowych; wystarczy, że zobaczą igłę, a już mdleją.

– Nie chodzi o to, że jest narkomanką czy coś takiego – powiedziałem. – To był jej pierwszy raz.

– Pierwszy raz – Ari upił łyk ze swojej kawy. – Uwierz mi, Chaim, nikt nie umiera od pierwszego razu, i nieważne, co to jest, chyba że bardzo, bardzo chce.

Rozdział osiemnasty,
w którym Chaimowi śni się, że występuje w filmie o więźniach, który źle się kończy, a to wszystko dlatego, że nie ma charakteru

Tej nocy śniło mi się, że Ari, Lihi i ja uciekamy z więzienia. Na początku uciekaliśmy z naszej celi, i to jeszcze było dość łatwe, ale potem, kiedy dotarliśmy na dziedziniec, włączył się alarm i reflektory. Po drugiej stronie czekał na nas bus, więc podsadziłem Lihi i Ariego, żeby mogli przejść przez ogrodzenie. Ja też chciałem, ale nie było już nikogo, kto mógłby mi pomóc. Nagle zobaczyłem obok siebie Knellera, ale zanim udało mi się powiedzieć, żeby mnie podsadził, uniósł się w górę i poleciał na drugą stronę. Wszyscy byli już na zewnątrz, razem z Argą, która prowadziła busa, i czekali tylko, aż przyjdę. Za sobą słyszałem syreny i psy, i to wszystko, co się słyszy na filmach o więźniach, coraz bliżej i bliżej. Z drugiej strony ogrodzenia Ari krzyczał do mnie: „No, Chaim, co się dzieje? Podleć trochę!", a Kneller, jakby chciał mnie zdenerwować, unosił się nad busem i robił różne pętle i fikołki. Ja też próbowałem, ale mi się nie udało. Wtedy wszyscy odjechali albo przyjechała nagle rodzina

Gelfandów, bo tak naprawdę, to tego fragmentu już dobrze nie pamiętam.

– Wiesz, o czym świadczy ten sen? – mówi do mnie Ari. – Że jesteś popierdolony. Łatwo ulegasz wpływom i jesteś popierdolony. Ulegasz wpływom, bo wystarczy, że raz powiem „więzienie", a tobie od razu się to śni. I popierdolony. O tym mówi sam sen.

Ari i ja siedzimy nad rzeką z kawałkami sznurka do suszenia bielizny w rękach i próbujemy łowić ryby według jakiegoś patentu, którego nauczyła go jego dziewczyna. Jesteśmy tu już dwie godziny i nie złowiliśmy nawet buta, więc Ari robi się sadystyczny.

– Pomyśl o tym. We śnie wszystkim udaje się uciec, bo lekko podchodzą do swojego istnienia, i tylko ty zostajesz, bo ciągle za bardzo się powtarzasz i donikąd cię to nie prowadzi. To bardzo prosty sen. Powiedziałbym, że prawie wychowawczy.

Zaczyna już robić się zimno i zastanawiam się, kiedy Ariemu znudzi się ta bzdura, bo mnie znudziło się już dawno. Poza tym to oczywiste, że tu nie ma ryb.

– Powiem ci więcej – kontynuuje Ari. – Nie tylko sen to pokazuje. To, że go pamiętasz i że go opowiadasz, też. Ludziom śnią się różne rzeczy, ale nie robią z tego afery. Ja też miewam sny, ale nigdy się nie upieram, żeby o tym opowiadać, i dzięki temu jestem szczęśliwszy.

I jakby chciał to udowodnić, pociąga za swój sznurek, a na jego końcu jest ryba. Mała i paskudna, ale to wystarczy, żeby połechtać jego przerośnięte ego.

– Chociaż raz posłuchaj swojego kumpla. Pozbądź się ze snów Argi i tych wszystkich infantylnych cudów, i skup się na Lihi. Żyj chwilą. Co w tym złego? Wygląda nieźle, trochę niepozbierana, ale naprawdę pozytywna i na pewno na ciebie leci. Mówiąc między nami, nigdy w życiu nie znajdzie Boga, żeby mu wpieprzyć swoje zażalenie, a ty nie znajdziesz trupa tej swojej pindy. Obydwoje tkwicie tu samotnie, więc może byście przynajmniej skorzystali z siebie nawzajem.

Kiedy tak rozmawiamy, ryba, która trzepoce się Ariemu w ręce, zmienia się w inną rybę, czerwoną i odrobinę większą, ale tak samo paskudną. Ari kładzie ją na ziemi i wali ją w głowę kamieniem, dopóki nie przestanie się rzucać. To jeszcze jeden eskimoski trik. Nawet nie zauważył, że ryba się zmieniła. Dobra. Może ma rację i może to naprawdę nie ma żadnego znaczenia. Ale jeżeli chodzi o Argę, ja naprawdę czuję, że ona tu jest, i wystarczy, żebym odwrócił głowę, a będzie stała gdzieś tam za mną. Cały ten cynizm Ariego mnie nie rusza, bo po prostu wiem, że ją znajdę.

– Powiedz mi tylko jedno – mówi Ari w drodze do domu. – Ten cały Kneller, o co mu chodzi? Cały czas jest taki zadowolony i obejmuje ludzi. To jakiś pedał?

Rozdział dziewiętnasty,
w którym Kneller obchodzi urodziny, a Chaim i Lihi decydują się ruszyć w dalszą drogę

Ostatnio przyjeżdża tu sporo ludzi. Kneller ma mieć urodziny i wszyscy się denerwują,

pieką ciasta albo szukają oryginalnych prezentów. Większości ludzi tutaj nie starcza koordynacji nawet żeby oddychać, i Lihi mówi, że jeżeli to wszystko nie skończy się katastrofą, to będzie wielki fart. Do tej pory dwóch już się pocięło, a jeden, co próbował uszyć Knellerowi torbę, przekłuł sobie prawie wszystkie palce. No i jest też Jan – Holender-kosmonauta, który wyszedł wczoraj rano z siatką na motyle, powiedział, że idzie do lasu złapać Knellerowi nowego psa, i od tamtego czasu nikt go nie widział. Sam Kneller też się bardzo denerwuje. Wieczorem, kiedy przygotowywaliśmy długi stół na kolację urodzinową, zapytałem go, ile ma lat. Zaczął się jąkać i okazało się, że właściwie nie pamięta. Po jedzeniu i prezentach włączyli płyty i ludzie zaczęli tańczyć, jak na imprezach w podstawówce. Nawet ja zatańczyłem z Lihi jeden wolny. Koło czwartej nad ranem komuś się przypomniało, że Kneller kiedyś sam grał, i że w komórce widział jego stare skrzypce. Z początku Kneller nie chciał się zgodzić, ale bardzo szybko się złamał i zagrał „Knockin' on the Heaven's Door". Nie jestem jakimś wielkim znawcą muzyki, ale nigdy w życiu nie słyszałem, żeby ktoś tak grał. Nie chodzi o to, że nie fałszował, bo trochę fałszował, ale o to, że grał z takim pełnym oddaniem. Wszyscy po prostu stali cicho, jak na apelu. Nawet Ari, który zawsze lubi przeszkadzać w takich chwilach, trzymał gębę na kłódkę i miał łzy w oczach. Mówił potem, że to alergia, ale było jasne, że to tylko takie gadanie. Kiedy Kneller skończył grać, nikt już nie miał na nic ochoty. Większość gości poszła spać, a Lihi i ja pomagaliśmy trochę posprzątać. Kiedy byliśmy razem w kuchni, spytała, czy tęsknię za tym wszystkim z przeszłości, z czasów, zanim ze sobą skończyłem. Odpowiedziałem, że niewiele pamiętam poza Argą, i nie żebym nie chciał wrócić, tylko że teraz, kiedy ona tu jest, już za niczym nie tęsknię.

– Może trochę za sobą samym. Za tym, jaki byłem, zanim ze sobą skończyłem. Pewnie wymyślam, ale chyba byłem bardziej... czymś. Nawet tego nie pamiętam.

Lihi powiedziała, że tęskni za wszystkim, nawet za tym, czego nie znosiła, i wydaje jej się, że już jutro będzie musiała stąd wyjechać, bo jeżeli chce znaleźć kogoś, kto mógłby jej pomóc, musi szukać dalej. Odpowiedziałem, że ma rację, że warto, żebym ja też jechał dalej, jeśli naprawdę chcę znaleźć Argę. Skończyliśmy wkładać naczynia do zlewu, ale żadnemu z nas nie chciało się iść spać. Kneller siedział na podłodze w salonie i jak dzieciak bawił się swoimi prezentami, i wtedy nagle do środka wpadł podniecony Jan, trzymając w ręku swoją idiotyczną siatkę na motyle. Powiedział, że za lasem mieszka Mesjasz Król, który trzyma psa Knellera jako zakładnika.

Rozdział dwudziesty,
w którym Fredi wcina szuarmę pod fałszywym nazwiskiem

Jan wpatrywał się w nas, ciężko dyszał i był czerwony na twarzy. Posadziliśmy go na sofie w salonie i przynieśliśmy mu wody, a on opowiedział o tym, jak szukał nowego psa dla

Knellera i zgubił się w lesie, i kiedy w końcu wyszedł po drugiej stronie, zobaczył wielką willę z basenem i chciał spytać ludzi, którzy tam byli, czy może zatelefonować na kolonie i poprosić, żeby ktoś po niego przyjechał. Ale w willi nie było telefonu, tylko muzyka i dużo szumu, i wszyscy tam nosili kucyki, byli opaleni i wyglądali, jakby przyjechali z Australii, poza dziewczynami, które kręciły się w bikini bez staników. Byli bardzo mili i dali Janowi kupę jedzenia, i powiedzieli, że to dom Mesjasza Króla, a wszyscy tutaj to jego kumple, i że Mesjasz Król lubi trance i dlatego słuchają trance'u bardzo, bardzo głośno. Powiedzieli też, że Mesjasz Król nazywa się Giwaon, ale wszyscy mówią na niego Giw (wymyśliła to jedna dziewczyna i tak już do niego przylgnęło), i że Giw pochodzi z Micpe w Galilei, ale jest tu już bardzo długo i za tydzień dokona zamierzonego i znaczącego cudu, i że zapraszają Jana, żeby został go obejrzeć. Kiedy Jan zaczął się przyzwyczajać do muzyki, zachwycił się, cudem też, ale przede wszystkim nagimi dziewczynami. Dali mu pokój w willi, razem z jakimś surferem, który, zanim ze sobą skończył, prowadził „Hard Rock Cafe" w Edmonton w Nowej Zelandii. Wieczorem wszyscy poszli pływać nago w basenie. Jan trochę się wstydził, więc został na brzegu i wtedy zobaczył Frediego, psa Knellera, który niedaleko basenu jadł szuarmę z plastikowej miski. Próbował im wytłumaczyć, że Fredi jest psem jego dobrego kumpla i że zgubił się przed kilkoma tygodniami. Wszyscy byli dosyć zmieszani, bo Mesjasz Król przygarnął psa, powiedział, że to geniusz, i nawet nauczył go mówić. Jan wiedział, że pies Knellera umie powiedzieć parę słów, ale niezupełnie je rozumie. Wiedział też, że poza tym jest naprawdę głupi, ale nie chciał im o tym mówić, żeby nie obrazić Mesjasza Króla, który właśnie przyszedł. Mesjasz Król, Giw, był wysokim blondynem z długimi włosami i niebieskimi oczami; miał też dziewczynę, trochę przegiętą, ale bardzo ładną. Obydwoje cierpliwie wysłuchali opowiadania Jana, a na końcu Giw powiedział, że jeżeli pies naprawdę się zgubił, to z radością go odda, i że jest prosty sposób, żeby to sprawdzić. Spytał Jana, jak pies się nazywa, a Jan odpowiedział, że Fredi. Wtedy Giw zawołał Frediego, który właśnie skończył jeść, i zapytał go, jak się nazywa, a durny pies zamerdał ogonem i powiedział „Naser". To taki głupi dowcip, którego nauczył go, kiedy jeszcze był szczeniakiem, jeden gość z Golanu, który skończył ze sobą podczas szkolenia radarowego. Jan próbował to też wytłumaczyć, ale zdaje się, że Giw był już przekonany, że to inny pies, a poza tym Fredi pokazywał, że nie chce iść z Janem, bo u Knellera nigdy w życiu nie dostał szuarmy. Jan pomyślał, że najlepiej będzie, jeśli wróci tu najszybciej, jak to możliwe, i wszystko opowie.

– Mesjasz Król, znaczące cuda, trance – wkurzał się Kneller. – Ta cała historia brzmi jak jedna wielka bzdura. Jedyna rzecz, która mnie nie dziwi, to to, że Fredi nie chce wracać. Zawsze mówiłem, że to niewdzięczny sukinsyn.

Rozdział dwudziesty pierwszy,
w którym Chaim i Lihi wyruszają na poszukiwanie Mesjasza Króla i przez pomyłkę znajdują morze

O siódmej rano, kiedy większość gości z przyjęcia jeszcze spała porozkładana na dywanie, Kneller stanął na środku salonu z plecakiem i powiedział, że stracił cierpliwość i że chce natychmiast zobaczyć Frediego. Lihi i ja zaproponowaliśmy, że się do niego przyłączymy. Lihi, mimo że nie do końca uwierzyła w tę całą historię z Mesjaszem Królem, stwierdziła, że nic nie straci, jeżeli zapyta go o odpowiedzialnych za to miejsce i jak ich znaleźć, a ja pomyślałem, że jeśli naprawdę jest tam tak dużo ludzi, może to być dobre miejsce, żeby poszukać Argi. Poza tym, biorąc pod uwagę koordynację Knellera i Jana, nie zaszkodzi, jeżeli ktoś będzie na nich uważał. Kneller chciał, żebyśmy pojechali samochodem jakiegoś jego kumpla, ale Jan powiedział, że umie tam trafić tylko na piechotę. I ciągał nas po lesie ponad dziesięć godzin, aż zaczęto się ściemniać, i sam przyznał, że zgubił drogę. Kneller potwierdził, że to dobry znak, bo również poprzednim razem Jan zgubił drogę, i żeby to uczcić, wyjął z plecaka fifkę do haszu. Nieźle się z Janem najarali i zasnęli na ziemi. Lihi i ja zdecydowaliśmy się nazbierać trochę gałęzi, żeby spróbować rozpalić ognisko. Jedynym źródłem światła, jakie mieliśmy, była zapalniczka Knellera, który spał jak niemowlę. Kiedy odeszliśmy trochę od niego i od Jana, który chrapał obok, usłyszeliśmy z oddali inny odgłos, coś takiego przygnębiającego i uspokajającego. Lihi powiedziała, że to brzmi jak morze. Poszliśmy dalej w tym kierunku i rzeczywiście okazało się, że to morze. To dziwne, ale nikt z kolonii, z Knellerem włącznie, ani razu nie wspomniał, że jesteśmy blisko morza. Możliwe, że sami nie wiedzieli, że poza nami nikt nie wiedział. Zdjęliśmy buty i poszliśmy trochę wzdłuż plaży. Zanim ze sobą skończyłem, chodziłem nad morze bardzo często, prawie codziennie. Kiedy sobie to przypomniałem, lepiej zrozumiałem to, co Lihi mówiła wczoraj o tęsknocie, i o tym, że musi wrócić. Opowiedziałem jej o ojcu Ariego, który nazywa to miejsce Cień Śmierci, i o tym, że wszystkim tutaj tak bardzo nic się nie chce, i że zazwyczaj kiedy jesteś wśród nich, czujesz, że wszystko jest w porządku, ale tak naprawdę jesteś już w połowie martwy. Lihi zaśmiała się i odpowiedziała, że większość ludzi, jakich znała, nawet zanim się przekręciła, była w połowie albo nawet całkiem martwa, więc moja sytuacja jest stosunkowo dobra, i kiedy to mówiła, dotknęła mnie jakby przez przypadek, chociaż tak naprawdę wcale nie.

Zawsze miałem nadzieję, że jeśli kiedyś zdradzę Argę, to zrobię to z jakąś naprawdę piękną dziewczyną, tak że kiedy będę potem żałował, będę mógł się pocieszać tym, że była tak ładna, że nikt nie mógłby jej powiedzieć „nie”. No i Lihi właśnie taka była. Tej nocy, kiedy mnie dotknęła, poczułem, że miała rację i że moja sytuacja jest jeszcze rzeczywiście stosunkowo dobra.

Rozdział dwudziesty drugi,
w którym Kneller mówi Frediemu prawdę w oczy

Obudził nas wschód słońca. Chociaż raczej to były krzyki Knellera. Otworzyliśmy oczy, a plaża wokół nas już nie była nasza własna. Nie chodzi o to, że był tam ktoś jeszcze, ale teraz, w świetle dnia, widzieliśmy, że cała jest pełna zużytych kondomów, unoszących się w płytkiej wodzie jak meduzy lub na wpół zagrzebanych w piasku wokół nas jak małże. Wszystko wypełniło się zapachem gumy, który wczoraj w jakiś sposób został wchłonięty przez zapach morza. Tylko z powodu Lihi z wysiłkiem powstrzymałem się, żeby się nie wyrzygać, i mocno ją przytuliłem. Nie wiem, jak długo leżeliśmy tak bez ruchu, jak para turystów, którzy utknęli na polu minowym i czekają na brygadę ratunkową.

– Tu jesteście – Kneller pojawił się nagle między drzewami. – Już bardzo się niepokoiłem. Czemu nie odpowiadacie, kiedy się was woła?

Zaprowadził nas do miejsca, gdzie spał razem z Janem, a po drodze wytłumaczył, że to była kiedyś plaża kurew i narkomanów, ale że z czasem stała się tak syfiasta, że nawet oni przestali przychodzić.

– Tylko mi nie mówcie, że naprawdę tam spaliście – wykrzywił twarz, kiedy razem z Lihi próbowaliśmy się oczyścić z piasku i tego wszystkiego, co przykleiło się do ubrań. – Po co?

– Lubimy morze – Lihi uśmiechnęła się do niego półgębkiem.

– Lubimy syfa – poprawił Kneller. – Żeby tylko Jan gdzieś nam nie zniknął.

Jan rzeczywiście zniknął, ale zanim zdążyliśmy zacząć się niepokoić, przybiegł z powrotem zadowolony i powiedział, że udało mu się znaleźć dom Mesjasza Króla i że to naprawdę blisko. Willa Mesjasza Króla była naprawdę duża. Jak domy, które Arga pokazywała mi, kiedy jechaliśmy odwiedzić jej wuja w Cezarei. Takie miejsce, w którym poza basenem, kortem do squasha i jacuzzi zawsze w piwnicy jest schron przeciwatomowy. Kiedy tam dotarliśmy, przy basenie była ponad setka osób na imprezie, która pewnie zaczęła się jeszcze poprzedniego dnia. Było tam dużo hipisów, sporo surferów i mnóstwo innych ludzi. Wszyscy wyglądali na bardzo poruszonych. Między gośćmi kręcił się Fredi. Szczerzył zęby i zmuszał wszystkich, żeby go karmili. Kiedy Kneller go zobaczył, po prostu szlag go trafił. Stanął naprzeciwko Frediego i zaczął na niego krzyczeć, jak on śmie tak się zachowywać, i to jeszcze w jego urodziny, i że jest niewdzięczny, i przypominać różne żenujące szczegóły z czasów, kiedy był jeszcze szczeniakiem, a Fredi cały czas patrzył na niego spokojnie i wolno gryzł kawałek sushi, jak jakiś menel, co żuje gumę. Ludzie dookoła próbowali uspokoić Knellera i mówili, że jeszcze chwila, a Giw wszystko załatwi. Kiedy zobaczyli, że to nie działa, próbowali go zainteresować prawdziwym cudem, którego miał dokonać ten cały Giw, co jeszcze bardziej go zdenerwowało. Staliśmy z Lihi z boku. Podeszliśmy do przystawek, bo już cały dzień nic nie jedliśmy. Było mnóstwo rzeczy, o których chcieliśmy powiedzieć, ale nie powiedzieliśmy z powodu hałasu, chociaż oczywiście nie tylko. Nagle przyszedł Jan i powiedział, że Giw i jego dziewczyna zawołali Knellera do salonu i że najlepiej będzie, jeśli i my pójdziemy, bo Kneller groził, że zrobi aferę. Jeszcze zanim weszliśmy, usłyszałem krzyki Knellera i wysoki psi głos, który co jakiś czas bełkotał:

„Wyluzuj się, człowieku, wyluzuj się”. Rozpoznałem też głos Argi.

Rozdział dwudziesty trzeci,
w którym Chaim w końcu spotyka się z Argą

Nie wiem, ile razy wyobrażałem sobie to spotkanie. Przynajmniej z milion. Za każdym razem wszystko kończyło się dobrze. Nie żebym sobie nie wyobrażał różnych komplikacji po drodze. Specjalnie myślałem o wszystkich możliwych, żebym, niezależnie od tego, co się stanie, niezależnie od tego, co powie, był przygotowany. Arga rozpoznała mnie natychmiast, podbiegła, przytuliła się do mnie i rozpłakała się. Przedstawiła mnie Giwowi, który podał mi rękę i powiedział, że dużo o mnie słyszał, i że wygląda na to, że jestem naprawdę równy gość. Przedstawiłem jej Lihi, i to wypadło trochę głupio. Lihi nic nie powiedziała, ale, mimo że wszystko się pokomplikowało, widać było, że cieszy się razem ze mną. Zostawiliśmy pozostałych i wyszliśmy na balkon. Przez drzwi słychać było Knellera, jak wygłasza przemowę, i Giwa mamroczącego ugodowo. Najwidoczniej jeżeli chodzi o Frediego, już dawno ustąpił. Arga opowiedziała mi, co się działo po tym, jak ze sobą skończyłem: jak nie wiedziała, co ma ze sobą zrobić, jak czuła się taka winna, że chciała umrzeć. Przez cały czas, kiedy mówiła, patrzyłem na nią. Wyglądała dokładnie tak, jak ją zapamiętałem, nawet fryzurę miała tę samą. Była tylko trochę przekrzywiona, bo skończyła ze sobą, skacząc z dachu szpitala „Furia”. Opowiedziała mi, jak po moim pogrzebie pojechała do Galilei i przez całą drogę okropnie płakała, a kiedy dojechała do Micpe, pierwszą osobą, którą zobaczyła, był Giwaon. Kiedy go zobaczyła, coś się w niej uspokoiło i przestała płakać. To nie znaczy, że przestała być smutna, ale smutek nie był już taki histeryczny, nie mniej głęboki, ale możliwy do zniesienia. Giwaon wierzył, że wszyscy jesteśmy uwięzieni w świecie żywych i że jest lepszy świat, do którego może się dostać, a w Micpe było jeszcze paru ludzi, którzy wierzyli w jego moc. Dwa tygodnie po tym, jak się poznali, Giwaon miał odłączyć swoją duszę od ciała, znaleźć się w innym świecie i powrócić, żeby pokazać wszystkim drogę, ale coś się posrało i jego dusza już nie powróciła. Kiedy w szpitalu lekarze powiedzieli, że umarł, poczuła, że ją woła stamtąd, gdzie był, wjechała windą na dach i skoczyła, żeby mogli być razem. Teraz są razem, a dzisiaj Giwaon zamierza jeszcze raz dokonać tego, co próbował zrobić w Galilei. Ale tym razem jest pewna, że mu się uda, że znajdzie drogę do tamtego świata, że wróci i że pokaże ją wszystkim. Potem jeszcze raz powiedziała, jaki jestem dla niej ważny, że wie, że mnie zraniła, i że dopiero po moim odejściu zrozumiała, jak bardzo, i że jest szczęśliwa, że może mnie znowu zobaczyć, żeby mnie prosić o przebaczenie. Kiedy wyobrażałem sobie te spotkania, wiele razy widziałem ją z kimś innym, ale za każdym razem o nią walczyłem, mówiłem jej, jak bardzo ją kocham, że nikt nigdy nie będzie jej tak kochać, pieściłem ją, dotykałem itp., dopóki nie dała za wygraną. Ale kiedy to się działo naprawdę, wtedy, na balkonie, chciałem tylko dotrzeć do tego miejsca, kiedy mnie całuje jak przyjaciel,

żeby to się wreszcie skończyło. Właśnie wtedy, jakby specjalnie, żeby mnie wyrwać z tej sytuacji, rozległ się gong. Arga powiedziała, że powinniśmy wracać, bo to znaczy, że Giwaon za chwilę zacznie, i zamiast pocałować, tylko mnie przytuliła.

Rozdział dwudziesty czwarty,
w którym Giw obiecuje dokonać prawdziwego cudu

Kiedy wróciliśmy do pokoju, Lihi i Knellera już tam nie było. Giw, ubrany w haftowaną togę, powiedział, że poszli na dół. Kiedy zszedłem poszukać ich przy basenie, zobaczyłem publiczność podzieloną na mężczyzn i kobiety. Od razu znalazłem Knellera. Z daleka widziałem też Lihi. Na migi pytała: „Jak było?". Nie udało mi się wymyślić żadnego gestu, żeby wytłumaczyć, co się stało z Argą. Chciałem pokazać jej z daleka, że ją kocham, ale pomyślałem sobie, że to za bardzo jak z filmu, więc tylko się uśmiechnąłem i dałem znak, że porozmawiamy później. Kneller powiedział, że Lihi spytała Giwa o to, jak wrócić do świata żywych, a on odpowiedział, że szkoda na to czasu, że on pokaże wszystkim drogę do lepszego świata, i kiedy wyszli na zewnątrz, powiedziała Knellerowi, że ten cały Giw wygląda jej na zwykłego palanta. Muzyka była tak głośna, że nawet jego słyszałem z trudem. Śmiał się trochę ze mnie, a trochę z Lihi, mówiąc, że po raz pierwszy spotyka ludzi bardziej naiwnych od siebie samego, mnie z moimi cudami i ją z jej marzeniami.

– Zamiast ze sobą kończyć – krzyczał – powinniście byli pojechać do Kalifornii.

Zobaczyłem, że głaszcze Frediego. Widocznie wojna już się skończyła. Na scenę wszedł ubrany w togę Giw, a za nim Arga, trzymając w ręku zakrzywiony nóż, taki jak na rysunku z ofiarą Izaaka w „Opowieściach biblijnych dla dzieci". Wręczyła nóż Giwowi, a muzyka nagle ucichła.

– Co to za pierduły? – mamrotał obok mnie Kneller. – Facet już jest martwy, czego on jeszcze chce? Być martwy do kwadratu?

Ludzie obok nas odwracali się i prosili, żebyśmy byli cicho. Zrobiło mi się głupio, ale Knellera to wcale nie wzruszyło. Powiedział, że gotów jest się założyć, że Giw nigdy w życiu tego nie zrobi, bo ktoś, kto już raz ze sobą skończył i wie, jak boli umieranie, nigdy nie spróbuje tego drugi raz. Ledwo to powiedział, Giw wziął nóż i wbił go sobie w serce.

Rozdział dwudziesty piąty,
w którym podjeżdża biały bus i zaczyna się bajzel

To dziwne, ale mimo że ludzie stojący dookoła basenu cały czas wiedzieli, co się wydarzy, wszyscy byli zaskoczeni. To był taki rodzaj szoku. Potem zaczęły się pomruki. Arga krzyczała ze sceny, żeby wszyscy się uspokoili, bo w każdej chwili Giw może wrócić do swojego ciała, ale pomruki nie cichły. W międzyczasie zobaczyłem, jak Kneller mówi coś

szeptem do Frediego, a potem do swojej zapalniczki. W ciągu kilku chwil podjechał biały bus, który zatrzymał się przed willą. Wysiadło z niego dwóch chudych i wysokich gości ubranych w białe kombinezony. Jeden z nich trzymał megafon. Kneller podbiegł do nich i zaczął rozmawiać, wymachując swoimi wielkimi rękoma. Zacząłem przepychać się w kierunku kobiet, szukając Lihi, ale nie mogłem jej nigdzie znaleźć. Facet z megafonem poprosił wszystkich, żeby rozeszli się w ciszy. Na scenie Arga siedziała nad ciałem Giwa i płakała. Zobaczyłem, że próbuje sięgnąć po nóż, ale drugi w kombinezonie ją uprzedził. Zabrał nóż, zarzucił sobie ciało Giwa na ramię i pokazał Knellerowi, żeby odprowadził Argę do wozu. Człowiek z megafonem jeszcze raz poprosił, żeby się rozejść. Część ludzi zaczęła odchodzić, ale część stała, jakby byli sparaliżowani. Obok gościa z megafonem zobaczyłem teraz Lihi. Ona też mnie zobaczyła i próbowała do mnie podejść, ale kierowca busa, który rozmawiał przez krótkofalówkę i też był ubrany w kombinezon, zawołał ją do siebie. Lihi pokazała mi, że zaraz przyjdzie, a ja zacząłem iść w kierunku samochodu, rozpychając ludzi stojących na drodze. Zanim zdążyłem podejść, Kneller, który trzymał Frediego, i ten w kombinezonie, z megafonem, wsiedli do busa i odjechali. Przez okno widziałem, jak Lihi próbuje coś do mnie krzyknąć, ale nie udało mi się usłyszeć, co. Wtedy widziałem ją po raz ostatni.

Rozdział dwudziesty szósty,
w pewnym sensie optymistyczny

Czekałem tam jeszcze kilka godzin, bo na początku myślałem, że bus pojechał tylko odstawić gdzieś Argę i Giwa, i że Lihi szybko wróci. Zostało jeszcze parę innych osób. Wszyscy byli zszokowani i nikt naprawdę nie rozumiał, co się stało. Siedzieliśmy wszyscy na leżakach dookoła basenu i nie odzywaliśmy się do siebie. W końcu ludzie zaczęli powoli odchodzić i kiedy zostałem sam, poszedłem w stronę domu Knellera.

Kiedy tam dotarłem, był już wieczór. Ari opowiedział mi, że Kneller wpadł do domu zabrać parę rzeczy, powiedział wszystkim, że mogą zostać tak długo, jak chcą, a potem chciał porozmawiać z Arim sam na sam i poprosił go, żeby zajął się Fredim. Powiedział mu, że nigdy naprawdę ze sobą nie skończył, że cały czas był właściwie aniołem-tajniakiem, ale teraz, przez ten bajzel z Mesjaszem Królem, musiał się ujawnić i wygląda na to, że wraca, żeby być normalnym aniołem. Jeżeli chodzi o Giwa, to powiedział Ariemu, że mu nie zazdrości, bo skoro to miejsce wygląda jak gówno, to miejsce dla tych, którzy kończą ze sobą po raz drugi, jest tysiąc razy bardziej gówniane, bo jest tam o wiele mniej ludzi i wszyscy bardzo poznieksztalcani. Spytałem Ariego, czy Kneller mówił coś o Lihi. Najpierw zaprzeczył, ale potem przyznał, że Kneller powiedział, że podczas całego tego zamieszania Lihi podeszła do jednego z jego kumpli i poprosiła, żeby sprawdzili jej akta, i – chociaż to brzmi nieprawdopodobnie – okazało się, że naprawdę była tu przez pomyłkę i nikt nie

wiedział dokładnie, co z nią zrobić, ale że jest duża szansa, że zabiorą ją stąd i przywrócą do życia. Ari mówił, że nie powiedział mi tego od razu, żebym się nie wkurzył, ale to w sumie dobra wiadomość, bo Lihi dostała się tam, gdzie chciała.

Ari postanowił zostać ze swoją dziewczyną w domu Knellera, a ja wróciłem do miasta sam. Po drodze udało mi się przez przypadek dokonać cudu, i dopiero kiedy to się stało, zrozumiałem, co Kneller próbował mi wytłumaczyć: jak bardzo to nie ma znaczenia. Ari dał mi paczkę dla swoich rodziców. Bardzo się ucieszyli, że przyszedłem, i poprosili, żebym opowiedział o wszystkim, szczególnie o jego dziewczynie. Ojciec Ariego powiedział, że przez telefon Ari wydawał się bardzo szczęśliwy i że w przyszłym miesiącu całą rodziną pojadą go odwiedzić. Póki co zapraszali mnie do siebie na kolację w każdy piątek. I w środku tygodnia. Kiedy tylko będę miał ochotę. W pizzerii „Kamikaze" też się ucieszyli, że wróciłem, i od razu dali mi zmianę.

Nocami wcale mi się nie śni, ale myślę o niej bardzo dużo. Ari powiedział, że taki już mam charakter – lecę na panny, z którymi nie mam żadnych szans być. Może ma rację, i może szanse rzeczywiście są małe, ale, z drugiej strony, powiedziała mi kiedyś, że półmartwy jest dla niej wystarczająco dobry, a kiedy wsiadła do busa, dała mi znak, że zaraz wraca, więc o co chodzi? Na wszelki wypadek za każdym razem, kiedy zaczynam zmianę, robię jakiś drobiazg – przypinam plakietkę z imieniem do góry nogami, źle zawiązuję fartuch, cokolwiek, tak, żeby, jeśli kiedyś mimo wszystko wejdzie, nie była smutna.

przekład Jakub Kakietek

JETLAG

W czasie mojego ostatniego lotu z Nowego Jorku zakochała się we mnie stewardesa. Wiem, co sobie teraz myślicie. Że się przechwalam albo że kłamię, albo jedno i drugie. Że uważam się za podrywacza albo przynajmniej chcę, żebyście mnie za takiego uważali. Ale ja nie jestem taki. I ona naprawdę się we mnie zakochała. To zaczęło się zaraz po starcie, kiedy roznoszono napoje. Kiedy powiedziałem, że nic nie chcę, a ona mimo wszystko uparła się nalać mi soku pomidorowego.

Co prawda podejrzewałem coś już wcześniej, kiedy w trakcie tego szkolenia przed startem cały czas patrzyła mi w oczy, jakby wszystkie informacje były przeznaczone wyłącznie dla mnie.

Jeśli to wam nie wystarczy, to dodam, że w czasie posiłku, kiedy zjadłem już wszystko, przyniosła mi dodatkową bułeczkę.

– Została tylko jedna – wyjaśniła dziewczynce siedzącej obok z głodnym spojrzeniem utkwionym w bułce – a ten pan poprosił pierwszy.

Ale ja nie prosiłem. Krótko mówiąc – wpadłem jej w oko. Nawet siedząca obok dziewczynka coś zauważyła.

– Szaleje za tobą – powiedziała mi, kiedy jej matka, czy ktokolwiek to był, poszła do toalety. – Idź do niej, idź do niej teraz. Zróbcie to tutaj, w samolocie, a ona oprze się o wózek z produktami duty free, jak Sylvia Kristel w „Emmanuelle". No, zerżnij ją, stary, daj jej, czego chce, a potem zrób to ze mną.

Muszę przyznać, że byłem nieco zaskoczony tymi słowami. Wyglądała na delikatną blondyneczkę, najwyżej dziesięcioletnią, a tu nagle „zerżnąć" i „Emmanuelle". Byłem zażenowany, więc spróbowałem zmienić temat.

– To pierwszy raz, kiedy jesteś za granicą, malutka? – zapytałem. – Mamusia zabrała cię na wycieczkę?

– To nie jest moja matka – skrzywiła się. – I nie jestem małą dziewczynką. Jestem przebranym karłem, a to jest moja agentka. Nie mów nikomu, ale noszę tę wstrętną sukienkę tylko dlatego, że mam dwa kilo heroiny w tyłku.

Potem matka wróciła i dziewczynka znowu zaczęła zachowywać się normalnie, poza momentami, kiedy stewardesa przechodziła między siedzeniami, roznosząc szklanki z wodą, orzeszki i wszystkie te rzeczy, które roznoszą stewardesy. Uśmiechała się, zwłaszcza do mnie, a dziewczynka budziła się i wykonywała w moim kierunku szereg wulgarnych gestów ręką. Po pewnym czasie dziewczynka także poszła do toalety, a jej matka, siedząca na

miejscu z brzegu, uśmiechnęła się do mnie znużonym uśmiechem.

– Na pewno zamęczała pana – pokiwała ze smutkiem głową. – Kiedy wyszłam, powiedziała panu, że nie jestem jej matką, że była dowódcą jednostki spadochroniarzy lub podobne historie.

Pokręciłem głową przecząco, ale matka ciągnęła dalej. Widać było, że nosi w sobie nielichy ciężar, którym się musi z kimś podzielić.

– Od kiedy jej ojciec nie żyje, przy każdej okazji usiłuje mnie ukarać – zaczęła swoją opowieść matka – tak jakbym to ja była winna jego śmierci.

W tym momencie rozpłakała się naprawdę.

– Ależ nie jest pani niczemu winna – powiedziałem i położyłem pocieszająco rękę na jej ramieniu. – Nikt nie uważa, że jest pani winna.

– Oni tak myślą – zrzuciła moją rękę ze złością. – Wiem, że tak myślą. Ale pozostaje faktem, że sąd mnie uniewinnił, więc niech pan mną nie pogardza. Kto wie, jakich strasznych rzeczy sam się pan dopuścił.

W tym momencie wróciła dziewczynka i utkwiła w swojej matce mordercze spojrzenie, które od razu ją uciszyło, a potem spojrzała łagodniej na mnie. Skuliłem się na moim miejscu koło okna, usiłując przypomnieć sobie straszne rzeczy, które w życiu popełniłem, kiedy poczułem, jak drobna, spocona rączka wciska mi do ręki pognieciony kawałek papieru. Na karteczce było napisane: „Ukochany, proszę, spotkajmy się w kuchni” i pod spodem podpis: „Stewardesa”. Wszystko drukowanymi literami, dziecinnym charakterem pisma.

Dziewczynka zerknęła na mnie kątem oka. Nie ruszyłem się z miejsca. Co jakiś czas szturchała mnie łokciem. W końcu miałem tego dosyć. Wstałem i udałem, że idę w kierunku kuchni. Postanowiłem pójść na koniec samolotu, policzyć do stu i wrócić. Miałem nadzieję, że może po tym upiorne dziecko zostawi mnie w spokoju. Została już tylko godzina lotu, mój Boże, jak bardzo chciałem być wreszcie w kraju. Obok toalety usłyszałem, jak woła mnie cichy głos. To była stewardesa.

– Jakie to szczęście, że przyszedłeś.

Pocałowała mnie w usta.

– Bałam się, że to dziwne dziecko nie odda ci karteczki.

Pocałowała mnie znowu i natychmiast się odsunęła.

– Nie mamy czasu – szepnęła. – Ten samolot ma się rozbić lada chwila. Muszę cię ocalić.

– Rozbić? – przeraziłem się. – Ale dlaczego? Mamy jakieś uszkodzenie?

– Nie – pokręciła głową Shelly.

Wiedziałem, że na imię jej Shelly, ponieważ do sukienki miała przypięty identyfikator z imieniem i nazwiskiem.

– Chcemy rozbić go specjalnie.

– Kto „my”? – zapytałem.

– Załoga samolotu – odpowiedziała bez mrugnięcia okiem. – To odgórne polecenie. Raz

na rok albo dwa rozbijamy jakiś samolot na środku morza, najdelikatniej, jak możemy, i zabijamy przy okazji jakieś dziecko. Dzięki temu ludzie poważniej traktują wszystkie te sprawy związane z bezpieczeństwem w samolotach. No wiesz, będą uważniej słuchać szkolenia na początku lotu i tak dalej.

– Ale dlaczego akurat nasz samolot? – zapytałem.

– Nie wiem – wzruszyła ramionami – to odgórna decyzja. Widocznie zauważyli ostatnio pewien brak ostrożności.

– Ale... – spróbowałem.

– Gdzie w samolocie są wyjścia awaryjne? – przerwała mi gwałtownie, nie pozwalając dokończyć zdania.

Nie bardzo pamiętałem.

– No właśnie – pokiwała głową. – Pewien brak ostrożności. Ale nie martw się, mój ukochany, większość się uratuje. W twoim przypadku po prostu nie mogłam ryzykować.

Wtedy pochyliła się i wcisnęła mi do ręki rodzaj plastikowego tornistra, takiego jaki noszą dzieci.

– Co to jest? – zapytałem.

– Spadochron – odpowiedziała i pocałowała mnie znowu. – Powiem trzy – cztery i otworzę drzwi. Wtedy wyskoczysz. Właściwie nawet nie musisz skakać, sam wypadniesz na zewnątrz.

Szczerze mówiąc, nie bardzo chciałem. Nie podobała mi się ta cała historia z wyskakiwaniem z samolotu w środku nocy. Shelly zrozumiała opacznie moje wahanie. Myślała, że boję się o nią, że nie chcę narażać jej na kłopoty.

– Nie martw się – powiedziała. – Jeśli nikomu nie powiesz, nic się nie wyda. Zawsze możesz twierdzić, że sam dopłynąłeś do Grecji.

Skoku nie pamiętam w ogóle, tylko wodę na dole, która była zimna jak dupa niedźwiedzia polarnego. Usiłowałem płynąć przez chwilę, ale wtedy zauważyłem, że mogę stanąć, więc zacząłem iść w wodzie w kierunku świateł. Potwornie bolała mnie głowa, a rybacy na brzegu cały czas mi przeszkadzali, zachowując się, jakbym był w niebezpieczeństwie, a oni ratowaliby mi życie. Wszystko, żebym tylko dał im parę dolców – nieśli mnie na plecach jak rannego, próbowali stosować sztuczne oddychanie i tym podobne bzdury. Dałem im trochę pieniędzy, ale wcale ich to nie uspokoiło i w dalszym ciągu szaleli wokół mnie. Kiedy usiłowali natrzeć mi całe ciało alkoholem, naprawdę straciłem panowanie nad sobą i jednego z nich walnąłem.

Wtedy obrazili się i poszli, a ja wynająłem pokój w hotelu „Holiday Inn”. W nocy nie mogłem zasnąć, prawdopodobnie przez jetlag, więc oglądałem telewizję. W CNN pokazywano na żywo akcję ratunkową po katastrofie samolotu, co było nawet dość poruszające. Zobaczyłem wiele osób, które pamiętałem z kolejki do toalety, jak wsiadają do łodzi, uśmiechają się i machają do kamer. W telewizji wyglądało na to, że całe to zdarzenie

bardzo do siebie ludzi zbliżyło.

I oprócz jednej dziewczynki w końcu nikt nie zginął, a nawet ona okazała się przebranym kartem, poszukiwanym przez Interpol. Tak że jak na tragedię atmosfera była całkiem przyjemna. Wstałem i poszedłem do łazienki. Z daleka mogłem jeszcze usłyszeć radosny, fałszywy śpiew rozbitków. I przez moment, z głębin samotności ponurego hotelowego pokoju, wyobraziłem sobie siebie tam, razem ze wszystkimi, z moją Shelly w objęciach na dnie łodzi ratunkowej, odmawiającego machania do kamer telewizyjnych.

przekład Magdalena Sommer

GOODMAN

Sześć miesięcy temu w jakiejś opuszczonej mieścinie kolo Austin w Teksasie Amir Goodman, mieszkaniec Ramat Ganu, zabił siedemdziesięcioletniego pastora i jego żonę. Goodman strzelił do nich z bliska, kiedy spali. Nadal nie wiadomo, w jaki sposób dostał się do mieszkania, ale najwyraźniej miał klucz. W ogóle ta cała historia brzmi strasznie dziwnie; jak to się stało, że młody chłopak, dobry żołnierz, żaden tam kryminalista, wstaje pewnego dnia i rozwala głowy dwojgu całkiem obcym ludziom w jakiejś zabitej dechami dziurze w Teksasie. I to do tego ktoś, kto nazywa się Goodman. Tego wieczoru, kiedy powiedzieli o tym w wiadomościach, akurat byłem z Almą w kinie. Potem, w łóżku, w czasie gdy się kochaliśmy, zaczęła nagle płakać. Od razu przestałem, bo pomyślałem, że sprawiam jej ból. Ale ona powiedziała, żebym nie przestawał, że jej płacz to tylko dobry znak.

Oskarżyciel twierdził, że Goodman otrzymał za tę zbrodnię trzydzieści tysięcy dolarów i że to wszystko jest związane z jakimś miejscowym konfliktem i kłótnią o spadek. Pięćdziesiąt lat temu fakt, że pastor i jego żona byli czarni, tylko by mu pomógł, ale dzisiaj jest dokładnie odwrotnie. To, że ofiara była duchownym, także przemawiało przeciwko Goodmanowi. Jego adwokat oświadczył, że po rozprawie, jeśli sąd uzna Goodmana za winnego, zażąda, by mógł odbyć karę w kraju. Bo z tymi wszystkimi czarnymi w amerykańskich więzieniach jego życie będzie warte mniej niż zużyta torebka herbaty. Prokurator jednakże stwierdził, że Goodman i tak pożegna się z życiem dużo wcześniej. Teksas to jeden z nielicznych stanów Ameryki, gdzie nadal wykonuje się karę śmierci.

Od dziesięciu lat nie miałem kontaktu z Goodmanem. Ale kiedyś, w liceum, był moim najlepszym przyjacielem. Każdą wolną chwilę spędzałem z nim i z Dafną, która była jego dziewczyną jeszcze w gimnazjum. Kiedy poszliśmy do wojska, kontakt się urwał. Nie jestem najlepszy w podtrzymywaniu przyjaźni. Alma za to jest w tym wspaniała. Swoje najlepsze przyjaciółki zna jeszcze z przedszkola. Trochę jej tego zazdroszczę.

Proces trwał trzy miesiące. Kawał czasu, zważywszy na to, że wszyscy byli przekonani o jego winie. Powiedziałem mojemu ojcu, że coś w tej całej historii wydaje mi się nielogiczne, przecież znamy Amira, był u nas prawie domownikiem, a tata odparł: „Nigdy nie wiadomo, co tam ludziom chodzi po głowie”. Moja matka powiedziała, że zawsze wiedziała, że on źle skończy, zawsze miał ten wyraz oczu chorego psa. Powiedziała, że przeraża ją myśl, że ten morderca jadł z jej talerzy, że siedział z nami przy jednym stole. Przypomniałem sobie nasze ostatnie spotkanie. To było na pogrzebie Dafny, zachorowała i umarła zaraz po tym, jak odeszli do rezerwy. Przyszedłem na pogrzeb, a on mnie po prostu przepędził. Poprosił, żebym

sobie poszedł, z taką gwałtownością, że nawet nie pytałem dlaczego. To było mniej więcej sześć lat temu. Ale nadal pamiętam tę nienawiść w jego oczach. Od tamtej pory nie rozmawialiśmy ze sobą.

Codziennie po powrocie z pracy szukałem reportaży o procesie w CNN. Co kilka dni było coś nowego. Czasami, kiedy pokazywali w telewizji jego zdjęcie, bardzo za nim tęskniłem. Zawsze było to to samo zdjęcie, stare zdjęcie paszportowe, na którym jest uczesany z przedziałkiem, jak chłopiec na uroczystości ku czci poległych w Dzień Pamięci. Alma była bardzo wzburzona faktem, że go znam, nie przestawała o tym mówić. Kilka tygodni temu zapytała mnie, co było najgorszą rzeczą, jaką zrobiłem w życiu. Opowiedziałem jej, że kiedyś po tym, jak matka Nican Gross popełniła samobójstwo, napisaliśmy z Goodmanem na ścianie jej domu „Twoja matka się puściła". Alma stwierdziła, że to było raczej okropne i że ta historia także o nim nie najlepiej świadczy. Najgorszą rzecz w swoim życiu Alma zrobiła, kiedy była w wojsku. Jej dowódca, gruby i obleśny, cały czas próbował zaciągnąć ją do łóżka, a ona go nienawidziła. Tym bardziej że był żonaty, a jego żona była właśnie w ciąży.

– Możesz to sobie wyobrazić? – zaciągnęła się papierosem. – Jego żona nosiła ich dziecko w brzuchu, a on się pieprzył z innymi.

Dowódca miał absolutną obsesję na jej punkcie, więc postanowiła to wykorzystać i powiedziała mu, że zgadza się z nim przespać, ale tylko za pieniądze, tysiąc szekli. Wtedy wydawało jej się, że to bardzo dużo.

– Nie obchodziły mnie pieniądze – na samą myśl o tym zacisnęła wargi. – Chciałam go tylko upokorzyć, żeby poczuł, że żadna kobieta nie zechce go za darmo. Jeśli czegoś nienawidzę, to zdrady.

Dowódca przyniósł jej tysiąc szekli w kopercie, ale z nadmiaru wzruszenia nie chciał mu stanąć. Alma jednak nie zgodziła się oddać pieniędzy, więc upokorzenie było podwójne. Opowiedziała mi, iż tak bardzo brzydziła się tymi pieniędzmi, że ukryła je w jakimś funduszu oszczędnościowym i do dzisiaj nie jest w stanie ich dotknąć.

Proces zakończył się zaskakująco, przynajmniej dla mnie, i Goodman został skazany na karę śmierci. Japońska komentatorka w CNN powiedziała, że płakał cicho po ogłoszeniu wyroku. Moja matka powiedziała, że dobrze mu tak, a ojciec powiedział to, co zawsze: „Nigdy nie wiadomo, co tam ludziom chodzi po głowie". W momencie, kiedy usłyszałem wyrok, wiedziałem, że muszę polecieć odwiedzić go, zanim go zabiją. Ostatecznie kiedyś byliśmy najlepszymi przyjaciółmi. To było trochę dziwne. Ale wszyscy zrozumieli, oprócz mojej mamy. Ari, mój starszy brat, poprosił, żebym mu przywiózł ze Stanów laptopa, i że najwyżej zostawię go i sobie pójdę, jeśli mnie złapią na cle.

W Teksasie prosto z lotniska pojechałem do więzienia, w którym siedział Amir. Załatwiłem te odwiedziny jeszcze przed wyjazdem. Mieliśmy pół godziny. Kiedy wszedłem, Amir siedział na krześle. Miał skrępowane ręce i nogi. Strażnicy wyjaśnili, że cały czas się miota i dlatego musi być związany, ale mnie wydał się zupełnie spokojny. Myślę, że to był

wykręt, po prostu lubili się nad nim znęcać. Usiadłem naprzeciw niego. Wszystko wydawało się takie zwyczajne. Zaczął od tego, że jest mu przykro z powodu swojego zachowania na pogrzebie Dafny.

– Po prostu się na tobie wyładowałem – powiedział. – To nie było w porządku.

Odparłem, że dawno już o tym zapomniałem.

– Najwyraźniej długo już to w sobie dusiłem i nagle, po jej śmierci, po prostu wyszło na zewnątrz. Wcale nie dlatego, że sypiałeś z nią za moimi plecami, przysięgam, to dlatego, że złamałeś jej serce.

Powiedziałem mu, żeby nie gadał bzdur, ale nie mogłem zapanować nad drżeniem głosu.

– Daj spokój – odezwał się – wszystko mi opowiedziała i już dawno jej wybaczyłem. Cała ta afera na pogrzebie, naprawdę zachowałem się jak idiota.

Zapytałem go o zbrodnię, ale nie chciał o tym mówić, więc rozmawialiśmy o czymś innym. Po dwudziestu minutach strażnik powiedział, że pół godziny dobiegło końca.

Kiedyś, kiedy wykonywano wyroki na krześle elektrycznym i włączano prąd, światła w okolicy przygasały przez kilka chwil i wszyscy przerywali to, co akurat robili, jakby na dźwięk syreny. Wyobrażałem sobie, że siedzę w pokoju hotelowym i nagle światło zaczyna migać. Ale tak się nie stało. Dzisiaj wykonuje się wyroki za pomocą strzykawki z trucizną, tak że nikt już nie jest w stanie wyczuć kiedy. Powiedziano mi, że nastąpi to dokładnie o piątej. Patrzyłem na wskazówkę sekundnika i kiedy minęło dwanaście sekund powiedziałem sobie, że teraz na pewno już nie żyje. Prawdę mówiąc, to ja zrobiłem to graffiti na ścianie domu Nican. Amir tylko się przyglądał, a nawet był trochę przeciwny. A teraz najprawdopodobniej już nie żyje.

W powrotnej drodze siedział koło mnie jakiś grubas. Jego fotel był trochę zepsuty, ale stewardesy nie mogły przesadzić go gdzie indziej, bo wszystkie miejsca były zajęte. Nazywał się Peleg i opowiedział mi, że niedawno odszedł do rezerwy w stopniu podpułkownika. A teraz właśnie wraca ze szkolenia dyrektorów firm zajmujących się wysoko rozwiniętymi technologiami.

Patrzyłem, jak siedzi odchylony do tyłu z zamkniętymi oczami, nie mogąc znaleźć wygodnej pozycji na swoim zepsutym fotelu, i nagle wpadło mi do głowy, że może to właśnie on był w wojsku dowódcą Almy. Też był gruby. Mogłem sobie wyobrazić, jak czeka na nią w jakimś śmierdzącym pokoju hotelowym, przelicza pieniądze spoconymi dłońmi, myśli o bliskim seksie z nią, o żonie, o dziecku. Stara się wymyślić jakąś wymówkę, dlaczego mimo wszystko to jest w porządku. Spoglądałem na niego, jak kręcił się z zamkniętymi oczami na sąsiednim fotelu. Może cały czas o tym myśli, nawet teraz. Nie wiem, nagle zrobiło mi się go żal.

przekład Magdalena Sommer

KATZENSTEIN

W piekle wsadzono mnie do kotła z wrzącą wodą. Moje ciało skwierczało i przypalało się, skóra pokryła się pęcherzami. Nie przestawałem wyć z bólu. Wiszą tam ogromne ekrany, na których można zobaczyć, co dzieje się w Raju. Cierpisz i zazdrościsz, przyglądasz się i cierpisz. Wydaje mi się, że widziałem go tam przez chwilę, jak gra w golfa albo w krykieta, albo w coś podobnego. W zbliżeniu widać było jego uśmiech, a zaraz potem pojawił się obraz pary uprawiającej seks.

Kiedyś, po tym jak skończyliśmy się kochać, moja żona powiedziała:

– Od siedmiu lat tam pracujesz, zaprzedajesz im duszę, przynosisz robotę do domu, a teraz, kiedy nadeszła chwila prawdy, nie mają zamiaru zatrudnić cię na stałe. A wiesz dlaczego? Bo nie potrafisz się sprzedać. Popatrz choćby na Katzensteina.

Popatrzyłem na Katzensteina. Przez całe swoje życie patrzyłem na Katzensteina. Wstałem i poszedłem wziąć prysznic. Nie było ciepłej wody, zepsuł się bojler. Wziąłem prysznic w zimnej. Katzenstein na pewno ma słoneczny ogrzewacz wody.

W liceum nie przyjęto mnie do klasy o profilu ścisłym. Moja mama zrobiła z tego wielką tragedię. Ciągle tylko płakała i powtarzała, że nic ze mnie nie będzie. Próbowałem wytłumaczyć jej, że bardzo trudno się tam dostać, że tylko dziesięć procent uczniów zdało, tylko ci najlepsi.

– Spotkałam dzisiaj w spożywczym Miriam Katzenstein – powiedziała moja matka zapłakanym głosem. – Jej syn został przyjęty. Syn Miriam Katzenstein ma być mądrzejszy od mojego syna? Nigdy w życiu. On tylko bardziej się stara. Ty mi to chyba robisz na złość. Wpędzasz mnie do grobu.

Gdziekolwiek bym poszedł, on zawsze tam był, żeby można było nas porównywać – w szkole, na osiedlu, na boisku, w pracy, wszędzie. Katzenstein, Katzenstein, Katzenstein. Nie to, żeby był jakimś geniuszem. Przeciętny chłopak, ani wybitnie inteligentny, ani wysportowany, ani szczególnie sprytny. Dokładnie taki jak ja, tylko zawsze miał trochę więcej szczęścia. Zawsze tylko trochę... Gehenna.

Na własną prośbę zwolniłem się z pracy. Kosztowało mnie to wiele kłótni z żoną, ale w końcu pogodziła się z tym. Przeprowadziliśmy się do innego miasta, daleko. Pracowałem tam jako agent ubezpieczeniowy. Powodziło mi się nie najgorzej. Nie widziałem go około siedmiu lat. Byłem szczęśliwy, urodził nam się syn. W tym czasie umarł w Szwajcarii mój dziadek i zostawił mi w spadku znaczny majątek. Podczas powrotnego lotu z Bazylei zobaczyłem go, jak siedział w klasie biznes. Kiedy go zauważyłem, było już za późno. Samolot zaczął

kołować po pasie startowym. Wiedziałem, że czeka mnie wyjątkowo długie pięć i pół godziny. Koło mnie siedział jakiś rabin, który nie przestawał mówić. Nie słyszałem ani jednego jego słowa. Przez pięć godzin siedziałem z oczami wbitymi w kark Katzensteina.

– Proszę popatrzeć na swoje nędzne życie. Jest pan człowiekiem pustym, pozbawionym jakichkolwiek wartości – krytykował mnie rabin, który z uporem usiłował wygłaszać odpowiednie cytaty z Pism.

Piłem sok pomarańczowy a Katzenstein zamówił „Jacka Danielsa".

– Niech pan popatrzy choćby na... – powiedział rabin.

Nie chcę. Wstałem i pobiegłem wzdłuż samolotu. Stewardesa poprosiła, abym wrócił na miejsce. Odmówiłem.

– Proszę pana, za kilka minut podchodzimy do lądowania. Proszę stanowczo, żeby wrócił pan na miejsce i zapiął pas bezpieczeństwa, tak jak...

Co prawda w końcu powiedziała tylko „jak reszta pasażerów", ale w jej oczach dostrzegłem Katzensteina. Przekręciłem uchwyt drzwi samolotu i z całej siły pchnąłem je ramieniem. Z ulgą wyskoczyłem na zewnątrz, zostawiając za sobą piekło.

Na tamtym świecie samobójstwo nadal uważane jest za ciężki grzech i nie pomogły mi żadne błagania. Kiedy wleczono mnie do piekła, ujrzałem Katzensteina. Razem z pozostałymi pasażerami samolotu machał do mnie przez okna mikrobusu wiozącego ich do Raju. Samolot rozbił się przy lądowaniu, jakiś kwadrans po tym, jak z niego wyskoczyłem. Niezwykłe uszkodzenie, przypadek jeden na milion. Gdybym miał tylko tyle cierpliwości, żeby usiedzieć na tyłku jeszcze parę chwil, jak inni, jak Katzenstein.

przekład Magdalena Sommer